Cena 60 gr

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VII — Warszawa, 2 grudnia 1951 r. — Nr 48 (314)

Bolesław PIASECKI

POGŁĘBIANIE ARGUMENTÓW

NAJBARDZIEJ szeroką płaszczyzną sprawy wszystkich Polaków jest Narodowy Front Walki o Pokój i Plan Sześcioletni. Całość osiągnięć politycznych i gospodarczych naszego kraju jest skutkiem i przejawem aktywności Frontu. Każdy jest obowiązany do pogłębiania tej aktywności przez zestawianie ogólnych założeń Frontu z problematyką wysuwaną przez dzień bieżący.

ŚWIADOMA OFIARNOŚĆ CZY PRZYMUSOWY HEROIZM

BUDOWA gospodarki narodowej w myśl wytycznych Planu 6-letniego dokonuje się wytężonym wysiłkiem pracy oraz naciskiem na produkcję dóbr inwestycyjnych a nie konsumpcyjnych. Kto uczestniczy w tym wysiłku i kto przełoży rozwój produkcji nad konsumpcję? Praktycznie — każdy Polak. I tu pada zarzut przymusowego heroizmu. Nie konsument projektował produkcję, ale wyznaczył ją plan. Nie pracownik zdecydował się wzmóc wydajność swojej pracy, ale wyznaczyła ją norma. W ten sposób pracę i jej cel odrywa się od moralnej postawy człowieka i zjawia się przymusowy heroizm. Nie dosyć na tym. W następnym ogniwie takiego rozumowania występuje podejrzanej wartości humanizm. Heroizm jest wartością humanistyczną, ale z samej jego istoty wynika, że musi być dobrowolny. Jeżeli nie wolny wybór, ale przymus planu stwarza konieczność heroicznego wkładu, to mamy wtedy do czynienia z poniżaniem godności człowieka.

Tak wygląda rozwinięty atak na moralną podstawę Frontu Narodowego, wywodzący się z zarzutu przymusowego heroizmu. Zarzut ten kursuje w szeptanej propagandzie. Pełne są jego wariantów audycje kapitalistycznej propagandy. Niewątpliwie w każdym ciężko pracującym Polaku budzi się oburzenie na próby podważania moralnej wartości jego wysiłku. Oburzenie to musi znaleźć jednakże swój właściwy rozumowy argument.

Czy ofiarność narodu polskiego, ofiarność dochodząca czasami, u najlepszych, do granic heroizmu wynika z przymusu. Niewątpliwie tak. Polacy nie są narodem szaleńców i nie dlatego ustawicznie wzmagają swój wkład pracy, aby ulegać jakiejkolwiek fantazji lub doktrynerstwu. Tempo realizacji przebudowy gospodarczej wynika z przymusu historycznej konieczności. Polega ona na likwidowaniu zacofania gospodarczego i wyciągnięciu wniosków z sytuacji międzynarodowej, która dopuszcza do remilitaryzacji Niemiec Zachodnich.

Wyzwolenie się z pęt kapitalizmu, powrót Ziem Zachodnich stworzyły nam wielką okazję do mocnego osadzenia naszej niepodległości na bazie współczesnej, rozwiniętej, własnej gospodarki. Widmo wojny, które pojawiło się na horyzoncie międzynarodowym wskutek polityki państw kapitalistycznych, uzbrajanie Niemiec Zachodnich skierowane bezpośrednio przeciw granicy na Odrze i Nysie, które jest faktem polityki państw kapitalistycznych — oba te wrogie zjawiska każą nam wykorzystać okazję zlikwidowania zacofania gospodarczego w czasie jak najkrótszym.

Historyczna konieczność wytwarza na tym odcinku w społeczeństwie polskim atmosferę przymusu moralnego. Ten kto się przeciwko temu przymusowi buntuje, ten kto chce w imię rzekomej ochrony godności ludzkiej innych do buntu nakłaniać, ujawnia swą ślepotę w stosunku do jedynej okazji zbudowania nowoczesnego przemysłu, w stosunku do groźby, którą stanowi pracujący w Nadrenii wojenny przemysł niemiecki. Z punktu widzenia naszej religii atmosfera przymusu moralnego wtedy jest godna potępienia gdy oddziaływuje w kierunku zdrady światopoglądu katolickiego.

Istota pozytywnego przymusu moralnego polega zaś na tym, że kto mu się nie podda, zdradza dobro, które obowiązany jest kochać, w danym wypadku własny naród. Podejrzany, kompromitujący i niestosowny jest humanizm, który obronę jednostki ludzkiej opiera na nakłanianiu jej do zlekceważenia stanu konieczności, w którym się znajduje wspólnota społeczna tej jednostki. Oczywiście, że nie każdy, kto ulegnie narodowemu przymusowi moralnemu, zajmuje postawę heroiczną. Pewne jest natomiast, że nie jest on szkodnikiem. Pewne jest także, że każdy Polak, który świadomie akceptuje konieczność historyczną, stojącą przed jego Ojczyzną, i który ze swej zgody wyciąga konsekwencje w działaniu, ma pełny tytuł dzięki swej ofiarności do szacunku i rozumienia, że nie czyni rzeczy codziennych.

Publicyści i dziennikarze polscy, dając swój wkład w realizację Planu, walcząc z wrogą propagandą, nie zawsze potrafią powiedzieć społeczeństwu w sposób wystarczający te proste słowa: w skali polskiej jesteśmy wszyscy niezwykłymi ludźmi, którzy przezwyciężają trudności i osiągają niezwykłe wyniki. Wynikająca ze zrozumienia konieczności historycznej atmosfera przymusu moralnego na odcinku pracy gospodarczej narodu umożliwiła powstanie i tempo realizacji przebudowy gospodarczej w Planie 6-letnim. Tylko wrogowie interesów polskich lub ludzie bezmyślni mogą zagadnienie odwracać, wysuwając zarzut przymusowego heroizmu.

SKUTECZNOŚĆ

SPOŁECZEŃSTWO nasze brało udział w podpisywaniu Apelu Sztokholmskiego, wypowiedziało się w plebiscycie pokojowym. Pisma codzienne dostarczają często wiadomości o rozmaitych wypowiedziach, odezwach w sprawie obrony pokoju. Zdarzało się i zdarza, że zdecydowani przeciwnicy wojny odnosili się sceptycznie do skuteczności tego rodzaju akcji. Warto jednakże zastanowić się, dlaczego wojna nie wybuchła. Refleksja ta jest potrzebna szczególnie obecnie, gdy się czyta niesłychane wypowiedzi polityków państw kapitalistycznych choćby ostatnio na forum ONZ.

(Dokończenie na str. 2)

Przyjście Pana

Z PIERWSZĄ niedzielą adwentu rozpoczyna się rok nowy w Kościele i jego liturgii. Rok nowy. Budzi się nadzieja, rodzi optymizm, jakieś niesprecyzowane podziękowanie dobrej nowinu Czyż w takim razie nie wygląda na paradoks ta ewangelia, przeznaczona na pierwszą niedzielę roku? Ta sama, co kończy rok liturgiczny. Apokaliptyczna wizja końca świata. Bije od niej groza, snuje się łuna pożaru. Przez jej krwawy poblask oglądamy niepokojące zmiany na słońcu, spadające gwiazdy, spustoszenie i zgliszcza. Na tym zaś tle — rozrachunek z Bogiem, sąd ostateczny, nieodwracalny wyrok i wstrząsające zrozumienie, czym jest wieczność. „Ludzie schnąć będą ze strachu i oczekiwania tych rzeczy".

Nie, w tym nie tkwi paradoks, w tym jest podana głęboka nauka na rok, co się rodzi. Celem roku liturgicznego jak zresztą całego chrześcijaństwa, jest nastawienie człowieka na te realne sprawy, o których człowiek tak łatwo zapomina. Człowiek bowiem zatraca często świadomość, że jest przecież i duchem. Że jest przeznaczony do życia z Bogiem. A On jest wiecznością. Człowiek grzęźnie w swej cielesności i bywa skłonny niczego poza nią nie uznawać. Człowiek czasem zatraca się w doczesności. Mając swobodę wyboru, idzie za tym, co jest tylko odcinkiem, odskocznią wartości. Wolność wyboru wykorzystał on nieszczęśliwie i utracił życie nadprzyrodzone. Zwichnęły mu się skrzydła. Zamknął się w błędnym kole, bo ma przeczucie Boga a nie może go osiągnąć. Skutkiem tego — albo stępienie, albo rozdarcie wewnętrzne. To jest jego grzech pierworodny. Tę skazę przynosi na świat jako dziedzictwo po prarodzicach.

Sam Bóg naprawić musi to spustoszenie, jakiego dokonali pierwsi rodzice. Gdy się wypełnią czasy oczekiwania, Syn Boży stanie się Synem Człowieczym by ofiarą swoją okupić ludzkość. Wtedy dusza ludzka nabierze nowej wartości i nowej mocy. Kropla Krwi Przenajświętszej użyczy jej blasku i przeleczy w nią nowe siły.

Tym akordem o podwójnym przyjściu Pana, raz w czasie, drugi raz w wieczności, raz w poniżeniu mocy drugi raz w błyskawicach majestatu — rozpoczyna się rok liturgiczny. Brzmi w nim nuta radości i zatroskania, nadziei i pokuty. Zatrzaśnięte niebiosa, ale „w obłokach nieba przychodzi Syn Człowieczy, a dane Mu są królestwo i chwała. Wszelkie narody, plemiona i języki służyć Mu będą. Potęga Jego jest potęgą na wieki i nie będzie Mu odebrana. Królestwo Jego nigdy nie zniszczeje". Taką surmą rozpoczynają adwent responsoria na jutrznię, a lekcja zapowiada słowami św. Pawła, że „noc ustępuje, a dzień się przybliża".

Ta melodia nadziei snuje się jako przewodni motyw poprzez liturgię adwentu. Wzrasta, potężnieje, by się zakończyć radosnym finałem. „Oto przychodzi ten, co jest oczekiwaniem wszystkich ludzi. Pan idzie. Wybiegajcie naprzeciw Niego". A w mszy św. na drugą niedzielę adwentu brzmi jak pobudka wezwanie: „Powstań Jeruzalem, stój na pagórku wysokim. Patrz, jak radość od twego Boga idzie ku tobie".

Tęsknota do Boga i tęsknota do wyzwolenia się z grzechu przepełniają wszystkie teksty mszalne i brewiarzowe na czas adwentu. Tęsknota owa uskrzydla słowo liturgii. Rozlewa się w nich czarująca poezja. Zwłaszcza antyfony ze swoimi t.zw. „wielkimi antyfonami" i responsoria tego okresu tak urzekają pięknem i głębią treści, że mimo surowości pokuty i powagi fioletu, jest to okres pełen radości i upojenia. Owocem zaś tej tęsknoty ma być nie bierność i ucieczka od świata, ale żywe zjednoczenie z Bogiem. Prowadzić ma nie do kwietyzmu, do jakiegoś błogostanu, ale do pracy nad sobą, do wysiłku, wreszcie do przetworzenia świata w duchu Bożym. „Przyobleczcie się w Pana Jezusa Chrystusa" — woła św. Paweł w lekcji na pierwszą niedzielę. „Odrzućcie uczynki ciemności, oblekajcie się w zbroję światła".

Wzorami tego czynnego a zarazem kupionego i nowego życia mają być trzy postacie, dookoła których skupia się liturgia adwentu. Są nimi Izajasz, Jan Chrzciciel, a nade wszystko Najświętsza Panna. Izajasz, którego tekstami jest zasiana liturgia adwentu, a zwłaszcza brewiarz, przygotowuje umysły na przyjście Pana. Budzi tęsknotę do Niego. Jego słowami woła ludzkość cała: „Rorate coeli". „Niebiosa spuśćcie rosę" Jan Chrzciciel wzywa do czynu, do walki ze złem, co w nas ma siedlisko. On prostuje drogi na przyjście Pana. A przez Marię zstępuje na ziemię Ten, co jest oczekiwaniem narodów. Przyzwolenie Marii na działanie w Niej Boga stwarza nowe czasy i nowe życie.



Św. Jan Chrzciciel — fragment rzeźby Rodin.

Te trzy historyczne postacie, mają w liturgii symboliczne także znaczenie. Wyrażają one trzy etapy życia Bożego w duszy ludzkiej. Aby się ono mogło w nas potrzeba rozwijać (oprócz Łaski uprzedzającej ze strony Boga) tego, co wyraża Izajasz: tęsknoty. Jest ona naturalną potrzebą duszy. Jest to ów ewangeliczny głód sprawiedliwości. Można go w sobie zdusić, ale jak długo tli się choćby jej płomyk w sercu ludzkim, Bóg może przyjść, by w nim płomień światła zapalić. Jan Chrzciciel wyraża gotowość podjęcia przemiany. Odbywa się ona tyle razy w sakramencie pokuty! Wtedy przybywa Pan i zakłada w duszy mieszkanie. To jest etap Marii. Ona stała się żywym tabernakulum i promieniował z Niej duch Boży. Była łaski pełna. To samo przeżywamy w komunii świętej.

I to jest drugie przyjście Pana. Adwent czasu bieżącego. Jezus przychodzi do nas w łasce sakramentalnej. O tym drugim przyjściu wspomina hymn na jutrznię czasu adwentowego. Jego druga strofka wyraża te myśli:

Dzisiaj oświecaj nam duszę,
Opromień Twoją miłością,
Niech pełne będą Twych wzruszeń
A obce ziemskim marnościom.

Dziś dokonywa się zapoczątkowanie tego, co się rozwinie dopiero w życiu wiecznym.

Ono jest naszym celem ostatecznym. Też nad poezją adwentowej tęsknoty, wspominaniem tego, co pokolenia minione przeżywały, nad naszym wysiłkiem codziennym i pokutą oczyszczającą — widnieje łuna dopalającej się doczesności. W tej łunie przyjdzie z Majestatem On, który jest oczekiwaniem naszym, utęsknieniem serc, dopełnieniem. „Przyjdzie Pan i wszyscy święci z Nim. I będzie dnia owego światłość wielka. Wszyscy spragnieni pójdźcie do wód! Szukajcie Pana, póki może być znaleziony!". Przyjdzie nie w ubóstwie — ale w Mocy wielkiej, nie opuszczony — ale w otoczeniu świętych wszystkich czasów, jako Sędzia, ale i jako Źródło wód niewysychających.

Noc, mrok, ciemności ogarniają nas, nasze serce, nasz rozum, całe nasze życie. Źródłem mroku jest skończoność rzeczy ziemskich, ułomność natury naszej. Chrystus przybywa i uzdrawia. Przez przyjście w ludzkim ciele i ofiarę uleczył naszą naturę, uodpornił przeciwko żrącej świadomości, jaką posiadała i starożytność helleńska, że mimo blasków jesteśmy skażeni. Przez nawiedzanie nas w Łasce uświęcającej wspomaga nas, wlewa nowe siły, karmi i przetwarza. A kiedy przyjdzie w olśniewającym blasku Bóstwa, skończy się niepokojąca świadomość skończoności i przemijania. W Nim się odnajdziemy, jak promienie słońca. Bo On jest „światłością wieczną", lumen de lumine, światło ze światłości Ojca, do Niego woła z utęsknieniem liturgia adwentowa: „O Wschodzący! Tyś jest jasnością światła wiecznego. Tyś słońcem sprawiedliwości. Przyjdź i oświeć tych, co są w mroku i cieniu śmierci" (antyfona z 21 grudnia).

EKONOMIA NA CODZIEŃ

D O L A   C H Ł O P A

Katolicki tygodnik francuski „Témoignage Chrètien" ogłosił następujący artykuł p. René Colson:

PARADOKSY MECHANIZACJI ROLNICTWA

Dziadek był gospodarzem. Gospodarował na 25 — hektarowej posiadłości. Za jego czasów trzeba było dużo pracować, by uczynić opłacalną taką powierzchnię: narzędzia rolnicze nie były zbyt udoskonalone i dużą część robót wykonywano ręcznie. Aby wykonać tę pracę zatrudniał na stałe rodzinę robotników rolnych. Poza tym w okresach nasilenia robót najmował robotników na dniówki. Z punktu widzenia „klasy społecznej" był on posiadaczem. Nawet jeśli wykonywał pewne czynności gospodarcze nie imał się najcięższych prac.

Następne pokolenie: syn gdy osiadł na tym samym gospodarstwie kupił narzędzia rolnicze: żniwiarkę-wiązałkę, pług o dwóch lemieszach, motory elektryczne do maszyn gospodarskich. Wszystko to powinno ułatwić życie posiadaczowi ziemskiemu. Mechanizacja rolnictwa szła jednak w parze z narastającymi trudnościami zdobywania robotników rolnych, przyciąganych do pracy w fabrykach. Wnioski były jednomyślne: „Gdyby się zgodzić na ich warunki, trzeba by było im odać wszystko co się zarobi. A więc lepiej jest obejść się bez nich".

Ale by „obejść się bez nich" trzeba ciężko pracować. Nie może już być mowy o przedłużaniu pobytu na targu dla przyjemności. Trzeba pracować bez wypoczynku, a przede wszystkim wykonywać wszystkie obowiązki — nawet najbardziej męczące. Kobieta także została zmuszona do pracy w gospodarstwie, do doglądania krów, do pracy w polu. Na żniwa wynajmuje się jeszcze kilku robotników dniówkowych, ale na tym koniec.

W gospodarstwie 25 hektarowym traktor nie jest rentowny. Zresztą, skąd zdobyć odpowiednią sumę na jego kupno.

Jest oczywiście jeszcze jedno rozwiązanie: popieranie rozwoju prywatnych przedsiębiorstw motorowo-rolnych.

Przedsiębiorca przyjedzie zabronować i zaorać ziemię a potem zebrać zboże.

Jeżeli tak się sprawy układają, to jaki będzie los naszego wnuka, spadkobiercy gospodarstwa 25 hektarowego? Będzie on rozrzucać nawóz, czyścić stajnie, oczyszczać pole z ostów, okopywać buraki. Jednym słowem będzie wykonywać t. zw. „brudną robotę", tą, która dawniej była wykonywana przez parobków.

Należy także wziąć pod uwagę, że nasz wnuk, o którym mówimy, będzie ponosił całe ryzyko prowadzenia gospodarstwa, kupna nawozu, opłaty kosztów robocizny przedsiębiorcy, podatków. Jeżeli zbiory są złe, albo cena rynkowa zbyt niska — nie pozostanie mu nic. Przedsiębiorca przeciwnie, będzie miał zawsze zapewniony dochód.

Jeżeli więc wnuk nie będzie chciał zdecydować się na pozostanie parobkiem na swoim własnym gospodarstwie, pozostaje mu tylko jedno wyjście: pracować przestarzałymi narzędziami, na co traci się jedną trzecią czasu więcej niż przy pracy zmotoryzowanej i co daje dużo słabsze wyniki materialne. Wtedy będzie miał „zaszczyt" pozostania jeszcze „niezależnym". W przeciwnym razie będzie musiał zdecydować się na zaangażowanie przedsiębiorcy i poziom jego życia nie będzie o wiele wyższy od poziomu życia parobków pracujących u jego dziadka.

CYTUJEMY tę wypowiedź przede wszystkim jako znamienny dowód przemian w poglądach społecznych katolików francuskich. Przedstawiony problem — jest migawką, wskazującą na bezdroża indywidualnej gospodarki wiejskiej w warunkach nowoczesnego kapitalizmu.

Gospodarz 25-hektarowy — to, w warunkach francuskich „średniak", nie bogacz wiejski, ale też i nie biedota. Propaganda zachodnia lubi roztaczać przed nami wizję szczęśliwego życia „średnich posiadaczy". W szczególności na odcinku wiejskim propaganda ta dąży do utrwalenia wizji chłopów zasobnych, indywidualnie gospodarujących.

René Colson nie jest zapewne zwolennikiem gospodarki uspołecznionej. Słowo „posiadacz" brzmi w jego wywodzie jednoznacznie. Tym niemniej i on sprowadza swe rozumowanie do prostego wniosku. W społeczeństwie kapitalistycznym chłop ma dziś do wyboru właściwie tylko dwie drogi — sprzedać swe gospodarstwo obszarnikowi, który posiada kapitał do zainwestowania, lub też stać się parobkiem u innego kapitalisty — u prywatnego przedsiębiorcy motorowo-rolnego, który wzamian za obsługę gospodarstwa maszynami — zabiera mu nie tylko dochód, ale i społeczną pozycję gospodarza.

Trzecia droga — to trwać przy prymitywnych formach gospodarstwa, żyć w biedzie i ciemności, cofać się w rozwoju kulturalnym.

René Colson nie wyprowadza wniosków konkretnych. Témoignage Chrétien prowadzi już od paru lat kampanię o... spółdzielnie rolne we Francji. Rzecz oczywista, że w warunkach kapitalistycznych takie rozwiązanie, ale tylko od strony gospodarczej — nie daje dostatecznych rezultatów. Pozbawiona materialnej pomocy państwa — spółdzielczość rolna wegetuje tam i nie chroni chłopa francuskiego przed powolną utratą swych praw do ziemi na rzecz przedsiębiorcy — kapitalisty.

Istnieje jeszcze jednak i inna wymowa tego artykuliku. W tej sa mej Francji głoszona od dawna doktryna społeczna, która, powołując się na autorytet Kościoła, przesądzała bezapelacyjnie, że ideałem chrześcijańskim jest ustrój oparty o jak najbardziej upowszechnioną własność indywidualną, tak na wsi, jak i w przemyśle.

Stwierdziliśmy już niejednokrotnie, że katolicy nie mogą w żadnym wypadku odsuwać się od zagadnień gospodarczych. Wprost przeciwnie: powinni z całą świadomością przyczyniać się do kształtowania odpowiednich form życia społecznego, zawierających nową treść zrodzoną w rezultacie nieustannych przemian.

Koncepcja oparcia organizacji życia gospodarczego na ograniczonej własności prywatnej była przez katolików uważana za jedynie będącą w stanie zlikwidować krzywdy i niesprawiedliwości społeczne. Mamy jednak wyraźne dowody nie przydatności tej koncepcji na skutek nieustannego rozwoju nauki i techniki. Indywidualne gospodarstwa rolne nie są w stanie, jak to stwierdza francuski tygodnik, wykorzystać zdobyczy nowej nauki i techniki. Tym samym pozostają także niewykorzystane w dostatecznej mierze grunty uprawne i ma miejsce nieracjonalnie prowadzona gospodarka ludzkiej siły roboczej. Małe i średnie gospodarstwa muszą zatrudniać więcej rąk roboczych, gdyż nie mogą zmechanizować dostatecznie nawet ciężkich prac, które muszą być nadal wykonywane siłą mięśni. Tak zorganizowana praca rujnuje gospodarstwo a jednocześnie utrzymuje pracującego w stanie kulturalnego zacofania.

W dalszej konsekwencji wywiera to głęboki wpływ na poziom materialny i kulturalny życia całej ludności a szczególnie ludności wiejskiej. W warunkach kapitalistycznych wieś pozostaje w zacofaniu, coraz bardziej ubożeje i uzależnia się od właścicieli przedsiębiorstw przemysłowych i usługowych. Inne działy gospodarki, które czerpią surowce z rolnictwa, także mają zahamowany rozwój. Całe społeczeństwo nie jest w stanie zaspokoić w dostatecznej mierze swych potrzeb materialnych. Różnice pomiędzy miastem a wsią zamiast zanikać pogłębiają się coraz bardziej.

To wszystko nie zgadza się z wielkim postępem i zdobyczami wiedzy teoretycznej. Stać nas na to, by wybudować olbrzymie fabryki i domy, potrafimy produkować niezwykle skomplikowane przyrządy i aparaty, cudów prawie dokonują takie dyscypliny jak: fizyka, chemia czy biologia, nie mogą więc poza nimi pozostać zagadnienia społeczno-ekonomiczne.

Cała wiedza teoretyczna znajduje przede wszystkim zastosowanie w przemyśle, który w zależności właśnie od tego w czyich znajduje się rękach nie zawsze wykorzystuje ją dla dobra społeczeństwa.

Powstające w związku z tym dysproporcje gospodarcze są powodem wielu zaburzeń w życiu społecznym i ekonomicznym.

Założenia gospodarki uspołecznionej rysują rozwiązanie tych pro blemów. Wieś zyskuje możność rozwijania się, materialnie i kulturalnie na równi z miastem, nie ma sprzeczności między potrzebami miasta i potrzebami wsi.

Gospodarka uspołeczniona uwarunkowana jest jednak zlikwidowaniem bez reszty ustroju kapitalistycznego w danym społeczeństwie i przełamaniem oporów mentalności indywidualistycznej, która nie chce i nie umie pracować zespołowo.

Zaprowadzenie pełnowartościowej gospodarki uspołecznionej jest, zwłaszcza na wsi, zadaniem, które wymaga czasu i wielu jeszcze doświadczeń.

Świadectwo „Témoignage Chrétien" uważamy jednak za cenny wkład. Tym wszystkim, którzy opierają się nowym formom, łudząc się, że jednak ustrój kapitalistyczny może znaleźć rozwiązania, które będą chronić indywidualną średnią i małą gospodarkę wiejską — radzimy się zastanowić nad wymową artykułu René Colson.

Niech zastanowią się również, czy droga budowania w powolnych etapach nowych form gospodarki uspołecznionej, przy jednoczesnej skutecznej pomocy państwa dla średniej i małej własności — nie jest jednak zgodniejsza z rzeczywistymi potrzebami wsi.

Chodzi teraz o nasz, chrześcijański wkład, by doskonalić metodę realizacji nowych założeń ustrojowych, zgodną z moralnością ogólno-ludzką i dostosowaną do ogólnych praw rozwojowych, by je w ten sposób wprowadzać w życie.

L. B.

Pogłębianie argumentów

(Dokończenie ze str. 1)

Z oświadczeń tych niezbicie wynika, że program wojenny państw bloku atlantyckiego jest hamowany aktywnością Światowego Ruchu Obrońców Pokoju. Widoczny z perspektywy ostatnich lat fakt skuteczności tej formy działania stwarza realne podstawy do dalszej masowej i indywidualnej walki o pokój.

Z półtorarocznej odległości od daty podpisania Porozumienia pomiędzy Rządem a Episkopatem widać także niezwykłą skuteczność tego aktu pokoju wewnętrznego. Nie trzeba wyobraźni, by zrozumieć, ile ułatwień akt ten przyniósł Państwu i Kościołowi, oraz ile zostało zaoszczędzonych niepotrzebnych nikomu a szkodliwych dla sprawy konfliktów sumienia. I tu jednak ocena ubiegłego okresu winna być czynnikiem mobilizującym do działania, utrwalającego perspektywy Porozumienia. Porozumienie jest w tym założeniu dwustronne i realizacja jego ma ten sam charakter. Z tego punktu widzenia stwierdzić należy na użytek okresu obecnego, że katolicy polscy stoją przed odpowiedzialnym zadaniem znalezienia właściwej ale zdecydowanej formy reakcji na fakt zaangażowania się części kleru i działaczy katolickich zachodnio - niemieckich w propagandę rewizjonistyczną i wojenną. W tekście Porozumienia problem ten jest bardzo wyraźnie postawiony. Wypadki ostatnich miesięcy postawiły zaś go bardzo jaskrawo. Narastająca akcja protestacyjna wśród duchownych i świeckich katolików polskich stwarza warunki do wyraźnych i zdecydowanych kroków. Dodać tu należy, że konieczna jest większa znajomość tendencji rozwojowych katolicyzmu niemieckiego w polskim społeczeństwie katolickim. Tak samo bowiem jak wiązanie się części katolików niemieckich z obozem wojny i rewizjonizmu utrudnia pozycję Kościoła w nadchodzącej epoce, tak samo specjalnie cenne są tendencje odrodzeń, nurtujące katolicyzm niemiecki.

Często piszemy, że Porozumienie jest zadaniem. Ostatnio pojawiła się nowa forma wrogiej akcji przeciw Porozumieniu. Zjawili się sceptycy, którzy nie poprzestają na słusznym twierdzeniu że Porozumienie jest zadaniem nie tylko dla katolików, ale i dla Rządu, ale sugerują także że realizacja ideologicznej treści Planu 6-letniego zawiera w sobie likwidację założeń Porozumienia. Jest to jednoczesny atak na pokój wewnętrzny w Polsce i na Plan 6-letni. Trzeba ten atak wyraźnie demaskować, gdyż ocena całej historii siedmiu lat od odzyskania niepodległości nie daje podstaw do wątpienia, że realizm polityki Rządu przy właściwej postawie katolików znajdzie sposób urzeczywistnienia gwarancji udzielonych Episkopatowi na przyszłych etapach budowy socjalizmu w Polsce.

Bolesław Piasecki

NOTATNIK POLITYCZNY

Propozycje i kontr-propozycje

„Pokojowa kampania" Stanów Zjednoczonych została otwarta przemówieniem prezydenta Trumana, rozwinięta na forum ONZ w przemówieniu Achesona. Ze zręcznością charakteryzującą tak wyraźnie amerykańską dyplomację — odczekano w Waszyngtonie aż do ostatnich dni przed sesją paryską ONZ, by wyjaśnić swe pokojowe projekty. Tym samym nie pozostawiono nawet cienia wątpliwości, iż ośrodkiem zainteresowania polityki Sekretariatu Stanu nie jest sam problem pokoju, lecz manewr taktyczny w stosunku do światowej opinii publicznej, potępiającej militaryzm i agresywność amerykańską.

Punkt charakterystyczny, na który trzeba zwrócić uwagę. Inicjatywa propozycji pokojowych nie wyszła od Stanów Zjednoczonych. Po konsekwentnie powtarzanych propozycjach radzieckich, po wielokrotnych akcjach Światowego Ruchu Pokoju, po setkach milionów głosów zebranych pod apelem sztokholmskim i referendum Światowej Rady Pokoju — dyplomacja amerykańska poczuła się z m u s z o n a do zareagowania. W obliczu nieuchronnego wyroku potępienia za agresywność i metody wojny totalnej — Truman i Acheson rozpoczynają manewr nastawiony na odwrócenie uwagi od istotnych celów ich polityki. Gdyby było inaczej — czyż nie szukaliby przed sesją kontaktów dyplomatycznych, dla przygotowania gruntu dla realnych propozycji, czy nie dążyliby do stworzenia warunków dla zdrowego kompromisu, czy długotrwałą kampanią propagandową nie dążyliby do stworzenia atmosfery rzeczywistego rozładowania piętrzących się konfliktów?

Tymczasem kampania „pokojowa" Stanów Zjednoczonych rozpoczęła się dopiero w przeddzień sesji ONZ i jest dziś na dobrą sprawę zamknięta, jeśli zważyć, że nie czekając nawet na wynik obrad paryskich, w Rzymie rozpoczęto obrady sztabów atlantyckich, pod kierownictwem Achesona, Lovetta — ministra wojny i Bradleya — szefa sztabu generalnego USA. W istocie pokojowa inicjatywa.

Propozycje amerykańskie złożone w ONZ sprowadzają się do paru syntetycznych tez: że warunkiem dalszych pokojowych rokowań ma być „zlikwidowanie przyczyn międzynarodowego napięcia", bez bliższego ich określenia, że nie można mówić o problemie rozbrojenia tak długo póki trwają walki w Korei (jakkolwiek przerwanie walk zależy w tej chwili tylko od postawy dowództwa amerykańskiego, gdyż strona północno-koreańska dawno już swą zasadniczą zgodę na przerwanie działań wyraziła), wreszcie — że akcję rozbrojeniową musi poprzedzić bliżej na razie nie określona akcja rejestracji sił zbrojnych na całym świecie.

Pomińmy na razie nonsensowne uwarunkowanie polityczne akcji pokojowej od likwidacji „stanu napięcia", tak jak gdyby to dziś było możliwe bez uprzednich konkretnych aktów na odcinku przerwania przygotowań do rozpętania wojny w skali światowej. Istotny jest również i drugi amerykański warunek. Według niego — mocarstwa, jak i wszystkie inne państwa miałyby, bez żadnych gwarancji istotnych zmian w sytuacji politycznej świata, zgodzić się na działalność komisji, które pod firmą Narodów Zjednoczonych miałyby prawo rozszyfrować wszelkie tajemnice wojskowe, zapoznać się ze wszelkimi planami obrony i uzbrojenia. Nie trzeba być wytrawnym dyplomatą, by wiedzieć, że w skali światowej nie stworzy się dziś takich komisji z ludzi godnych zaufania w stosunku do powierzanych im sekretów. Przeciwnie, cała aktualna praktyka ONZ wskazuje aż nadto wyraźnie w czyjej dyspozycji będą się znajdować członkowie tych komisji.

Rzecz prosta, nawet w amerykańskim departamencie stanu nie ma ludzi tak naiwnych, by mogli uwierzyć w realność takiego planu. Został on z góry tak sformułowany, by nie było szans, by został wprowadzony w życie. Z bardziej niezależną opinią publiczną Europy Amerykanie się już dziś zbytnio nie liczą. Spodziewają się natomiast, że zdołają przy pomocy własnych koncernów prasowych rozładować w ten sposób niepokojące tendencje pokojowe przejawiające się w ich własnym kraju.

Oto jedyny i właściwy sens manewru, który zmusił politykę Stanów Zjednoczonych do wysunięcia w stosunku do znanych od dawna pokojowych propozycji Światowego Ruchu Pokoju, akceptowanych i popieranych przez dyplomację radziecką, własnych kontr-propozycji, obowiązujących jako hasło propagandowe na czas sesji ONZ i tylko w Paryżu. W pobliskim Rzymie bowiem nie było już mowy nawet o warunkowym rozbrojeniu. Tam mówiono po prostu — o remilitaryzacji Niemiec i o „posiłkowych" kontyngentach żołnierzy z innych atlantyckich prowincji amerykańskiego imperium.

Jerzy Andrzej GÓRSKI

O literaturze katolickiej raz jeszcze

NIE uchybiając w najmniejszej mierze godności krytyka literackiego, w pełni zrozumienia kulturalnego i społecznego znaczenia tej dziedziny twórczości i potrzeby stałego jej rozwoju, stwierdzić wypada, że w pewnych określonych wypadkach czy raczej sytuacjach obfitość prac krytycznych i aspirujących do tej nazwy nabiera cech zjawiska nieco chorobliwego. Każda najbardziej nawet istotna i konieczna dyskusja zatraca swą twórczą siłę z chwilą, kiedy wchodzi w impas i toczy się tam latami, na mocy niepisanej umowy biorących w niej udział, zachowując pozory marszu naprzód.

Niezdrowe te objawy charakteryzują niestety dyskusję rozpalającą się raz po raz na łamach prasy katolickiej na tematy związane bezpośrednio z literaturą piękną. Jest niewątpliwie rzeczą wartą podkreślenia, że taka wymiana poglądów w ogóle się odbywa, że przebiega z dużym ożywieniem i w atmosferze zainteresowania szerokich kół katolików, że obok zawodowych krytyków (jak wiadomo można ich wśród nas policzyć na palcach jednej ręki) sięgają po pióro czytelnicy i zabierają głos pisarze i poeci. Nie należy jednak ulegać złudzeniom: dyskusja może nie dostarczać od razu spodziewanych rezultatów, nie wyłaniać z siebie gotowych sformułowań, mających wartość norm i drogowskazów, może iść naprzód, a potem cofać się, błądzić, wchodzić w zaułki nawet, by potem wrócić na główny trakt — wszystkie te perypetie nie stanowią o jej jałowości, są naturalne, by nie rzec wręcz konieczne. W danym wypadku nie chodzi o charakter tych wszystkich publicznych rozmów prowadzonych, trudno się oprzeć temu porównaniu, w mrocznym salonie. Przez ciemność trzeba czasem przejść, by dotrzeć do światła, nie wywala się jednak ścian mając do dyspozycji otwarte drzwi.

Dyskusję o literaturze katolickiej w Polsce sterylizuje i zabija brak materiału wiwisekcyjnego, brak realnych sprawdzianów bronionych i atakowanych tez. Przerost krytyki nad twórczością oryginalną, która nie tylko za nią nie nadąża, lecz której prawie nie ma. Nie tylko nasuwa jakieś nieustalone ściśle, lecz istniejące proporcje, ale zgoła hamuje życie kulturalne wprowadzając niezdrowy, trujący dla twórców klimat. Poziom i zakres tematyczny osiągnięć katolików w dziedzinie literatury w okresie powojennym są niewspółmierne do możliwości poszczególnych pisarzy, możliwości tak intelektualnych jak i artystycznych, a poza tym pozostają w rażącej sprzeczności z energią, elokwencją i sumą przemyśleń wkładanych w dyskusję. Wymiana poglądów krytycznych odbywa się w próżni — nie znajduje punktu wyjścia, ani oparcia w twórczości rodzimej, bo go znaleźć nie może. Do pewnych wniosków praktycznych doprowadziła, ale nikt ich jak dotychczas nie wykorzystał, trudno zatem orzekać o ich słuszności. Pisarz woli dyskutować, niż tworzyć, czytelnik domaga się lektury, której nie bardzo umie sprecyzować poza przymiotnikiem „katolicka", a krytyk ucieka między abstrakcyjne teorie. Wszystko to razem wzięte przypomina trochę błędne koło i sprawia wrażenie, że postanowiono czekać, aż wyjaśnią się kwestie sporne, ustali wzory, „wypracuje" wytyczne, może wręcz przygotuje szablony i wtedy dopiero literaci zasiądą przy biurkach.

Daleki jestem od lekceważenia trudności jakie nastręcza sam proces twórczy, zwłaszcza w okresie tak wielkich przemian (gdy chodzi o podjęcie problematyki współczesnej). Wiem, ile wysiłku kosztuje pisarza przemyślenie narzucających mu się zagadnień, zwłaszcza, gdy łączy się to z przestawieniem jego działalności na nowe tory, ilu zmagań wymaga wewnętrzne "przetrawienie" tworzywa i rzucenie wizji artystycznej na papier. Mimo to czekamy już tak długo, że można wymagać na pewno nie arcydzieł, czy wykończonych pod każdym względem i odpowiadających wszystkim postulatom utworów, ale przynajmniej widocznych śladów, jakiegoś realnego wyniku tych wysiłków. Pragniemy prozy i poezji katolickiej, która odzwierciedlałaby głębię przeżyć i myśli współczesnych katolików polskich, ich codziennej pracy i walki o pokój. Pragniemy rzecz jasna wielkich na miarę epoki powieści i poematów. W tej chwili jednak z radością powitamy każdą próbę, choćby niezupełnie udaną, powitamy jako świadectwo twórczego wysiłku wychodzącego na spotkanie społeczeństwu.

OCZYWIŚCIE postulat powieści współczesnej jest jednym, ale nie jedynym postulatem wysuwanym przez krytykę katolików pod adresem swych pisarzy. Powieść współczesną wskazuje się jako najbardziej potrzebną, najpilniejsze zamówienie, co nie jest równoznaczne z ograniczeniem tematyki. Często mówi się o dorobku pisarzy katolickich w zakresie powieści historycznej, wytacza się to jak najcięższe działo strzelające nieodpartymi kontrargumentami. I rzeczywiście na pierwszy rzut oka wykaz tytułów wygląda dość pokaźnie. Kiedy się jednak zastanowić, czego oczekujemy od powieści historycznej i skonfrontować te wymagania z wymienionymi dziełami, bilans nie wypadnie wcale nader korzystnie.

Od pisarza katolickiego, który bierze na warsztat temat historyczny, wymagamy nie tylko, aby ukazał nam wizję minionej epoki, aby podmalował jak najpełniej tło i zatroszczył się o precyzyjną podbudowę naukową, lecz przede wszystkim chcemy, by ukazał człowieka. Jego życie i związane z nim konflikty, uwypuklając na kanwie odtwarzanych przezeń zmiennych, w danej epoce jedynie istniejących warunków politycznych, społecznych i gospodarczych, niezmienne choć pod różnymi aspektami występujące wartości. Niech to nie będzie wyłącznie „historia", dzieje ludzi, środowisk i ustrojów, które minęły bezpowrotnie, niech to nie będzie wielkie rozmiarami i może barwne, lecz bezduszne i obce, malowidło, bohaterowie tych powieści muszą być prawdziwi, a przez to bliscy nam swymi tęsknotami, dążeniami i walką, które kiedyś w innych warunkach, lecz w gruncie rzeczy były ich udziałem jak dziś są naszym.

W tym sensie powieść historyczna jest także na swój sposób powieścią współczesną. I jeśli teraz przyjrzymy się ponownie z bliska utworom historycznym pisarzy katolickich, które ukazały się po wojnie, to — nie wchodząc w szczegółowe analizy, gdyż sprawa ta nie jest przedmiotem artykułu — można powiedzieć, że poza „Kluczem mądrości" Dobraczyńskiego, „Bolesławem Chrobrym" Gołubiewa, następnie „Srebrnymi Orłami" Parnickiego (powieść powstała w zupełnie odmiennych warunkach, co zaznaczyć trzeba), „Kamienie wołać będą" Malewskiej i może jeszcze paroma, już znacznie jednak słabszymi pozycjami — żadna z książek nie zdała swego społecznego, by tak to określić, egzaminu.

Czas już jednak postawić zasadnicze pytanie: jakie są decydujące przyczyny wszystkich zarówno wspomnianych tu jak i nie wymienionych, a na równi z tamtymi znanych, niedomagań bezpłodności nie tyle poszukiwań koncepcyjnych, co ich artystycznego wyrazu i pewnego rodzaju stagnacji, którą w obecnej chwili musimy przyjąć za fakt. Krytyka, jak już pisałem poprzednio, nie zastąpi twórczości oryginalnej i, jak widać to już zupełnie wyraźnie, nie stanie się, przynajmniej w aktualnym swym stadium, jej motorem, nie powoła jej do życia, nie wskaże pisarzom właściwej drogi. I tu wypada poświęcić jeszcze trochę uwagi owej nieszczęsnej dyskusji, która miast spełnić rolę zapłonu dolewa tylko wody (może kryształowo czystej, nie będę tego problemu dyskutował), ale tylko wody do tak cennego paliwa.

ROZWAŻAJĄC zagadnienia współczesnej literatury katolickiej ciągle mówi się o pewnych pozycjach zagranicznych i to przeważnie tych samych, ściślej: o kilku książkach pisarzy zachodnich, przetłumaczonych na przestrzeni ostatnich lat. Nie przeczę, że utwory te odznaczają się wysoką wartością i poziomem, że kryją w sobie duży ładunek światopoglądowy i uważam, że bardzo dobrze się stało, iż uprzystępniono je polskiemu czytelnikowi. O ile jednak znajomość obcych literatur jak najbardziej zasługuje na pochwałę, jak również fakt, że ktoś mieszkający w Krakowie czy Łomży jest „au courant" ważniejszych zagranicznych nowości wydawniczych, o tyle promowanie przez niektórych Krakowian, Łomżyniaków czy obywateli Pacanowa do rangi „duchowej ojczyzny", „źródła natchnienia artystycznego", „kuźni wielkich wzorów" — Paryża, Londynu czy Oslo — budzi nieprzyjemne zdziwienie. Stara, a zgubna tradycja prymatu tego, co powstało poza granicami ojczyzny nad dorobkiem krajowym okazała się jeszcze żywotna i to na niespodziewanym, zdawało by się, terenie. Bezsprzecznie powieści Greene'a czy Bernanosa bliskie są polskiemu katolikowi przez fakt, że pisał je katolik przeżywający głęboko problemy współczesności, nie upoważnia to jednak do bezapelacyjnego posługiwania się zaimkiem dzierżawnym „nasza", w stosunku do tych książek. Oprócz wspólnoty wiary bowiem i wspólnoty przeżywania niektórych zagadnień, istnieją i inne niemniej silne więzy. Tamte powieści powstały pod zupełnie inną szerokością geograficzną, pisali je ludzie o zupełnie odrębnych tradycjach narodowych i kulturalnych, wywodzący się z zupełnie odmiennych środowisk, w innych biegunowo warunkach działający. Przy całej dojrzałości talentu i jasności postrzegania, głębi filozofii, obcy, a zwłaszcza zachodni pisarz nie odpowie polskiemu czytelnikowi na jego pytania i wątpliwości, zawiedzie jego oczekiwania, tak samo jak polskiemu pisarzowi nie ukaże właściwej drogi, może, co najwyżej, dopomoc w jej odnalezieniu, czego też za zasadę brać nie należy. Szukanie w dzieciach stworzonych o setki kilometrów od nas (Greene, Julien Green, Marshall, Bernanos itd.) recepty na polską powieść katolicką graniczy z absurdem. Wiele zdobyczy można sobie stamtąd przyswoić: i styl, i sposób obrazowania, i kompozycję, i ukazywanie psychiki poszczególnych postaci poprzez akcję itd. itd. — ale nie sposób znaleźć w tamtych książkach tego, czego w nich po prostu nie ma: katolika w polskiej konkretnej rzeczywistości.

DYSKUSJA toczona wokół zagadnienia literatury katolickiej wykazuje niedwuznacznie skrywące w większości jej uczestników, często może podświadome, elementy kompleksu narodowej niższości. Ale ujawnia także i inną skazę, która rozstrzyga o wszystkich niepowodzeniach: skazę mieszczańskiej mentalności.

Rozwój powieści na Zachodzie Europy przypada na wiek XIX, okres, w którym mieszczaństwo, osiągnąwszy władzę wzmacnia się na swych pozycjach i w nader szybkim tempie degeneruje. Powieść krajów zachodnich przez całe ubiegłe stulecie i połowę naszego wieku po dzień dzisiejszy to właściwie, poza nielicznymi wyjątkami, powieść typowo mieszczańska, wyrosła w określonym środowisku społecznym i dla niego przeznaczona.

Rzecz oczywista, że na literaturze katolickiej atmosfera ta zaciążyła w sposób fatalny. Powstawały setkami i tysiącami książki szumnie reklamowane jako katolickie, poza czysto zewnętrznymi rekwizytami opisu nic z katolicyzmem nie mające wspólnego. Na Zachodzie ten stan rzeczy przetrwał mniej więcej do końca XIX wieku. Już grzmi wtedy Bloy, na widowni zjawia się Péguy, wkrótce dołączy do nich Bernanos, Mauriac, Chesterton i inni. Wszyscy pisarze ci i poeci reprezentują kierunek odrodzenia katolicyzmu, zepchnięcia go z fideistycznych mielizn, zbliżenia się do Boga poprzez filozofię i teologię, i te postulaty realizują w swej twórczości. Zasługi ich są olbrzymie i wiele zawdzięcza im myśl i literatura katolicka w Polsce. Tylko, że zapomina się ciągle o jednym: pisarze ci wyrośli w mieszczańskim społeczeństwie i nigdy poza nie nie wyszli, społecznego sensu Ewangelii nigdy nie potrafili zrozumieć w pełni, ich bunt był tylko buntem osamotnionej jednostki, pragnącej przede wszystkim walczyć o prawo do tej rebelii. Bohaterowie ich powieści to ludzie ścigani i prześladowani przez społeczeństwo, które jest złe, skorumpowane i niemoralne — nigdzie (poza dziełami Bloy i Péguy) nie jest jednak wymieniony po imieniu winowajca — ustrój kapitalistyczny, nigdzie nie zaznacza się nawet próba zanalizowania przyczyn istniejącego zła. Nędza materialna mas, demoralizacja, wyzysk — te problemy przybierają aspekt wyłącznie jednostkowy, bez szerszego zakreślenia tła, a cóż dopiero wskazania przyczyn. Wszystko sprowadza się do zmagań osamotnionego człowieka ze światem, który jest zły. A jednocześnie kłębi się aż od psychologii i sondowania sumień i w konsekwencji okazuje się, że każdy jest dobry, że kapitalista przeżywa większą tragedię od zagłodzonego robotnika, bo stale musi rozstrzygać między dobrem fabryki a przykazaniem miłości bliźniego.

POWIEŚĆ mieszczańska, mieszczański czytelnik, takiż krytyk — krąg zamknięty. Pamiętamy dobrze jak wyglądało to u nas przed wojną, tę całą tzw. literaturę katolicką. Wystarczyło, że w powieści występował ksiądz i dobre panie odwiedzały ochronki, a już wszystko było w porządku. Biblioteki parafialne zakupywały te książki i młodzież mogła je czytać. A, że jednocześnie w tychże powiastkach gloryfikowało się nierówności społeczne, przeróżne nie-

(Dokończenie na str. 10)

M. J. KONONOWICZ

Notatnik Łódzki z I-szej Spartakiady

Ty, coś dotąd był ślepy i skuty
A dziś tworzysz historię najnowszą —
Kiedy Olimp skamieniał pod dłutem —
Spartakusie! Nacieraj młodością!
I przewalaj rekordy spróchniałe,
Nie sięgając po laur do zielnika —
Spartakusie, buntami dojrzały,
Co masz serce i twarz — robotnika.

Nie ma rzek, które kończą się ślepo,
Nie ma rzek, które w biegu swym stają:
Płyń sześcioma rwącymi rzekami
Na otwarty ocean — i dalej!
I nie lękaj się głębin i prądów,
Piersią wichry przeciwne rozłamuj —
Choćbyś minął i sto horyzontów:
Żegluj bracie! Nie zwalniaj! Nie hamuj!

Nie ma gór, których zdobyć się nie da!
Za sześcioma wielkimi górami
Ta najwyższa, co z gruzów do nieba
Szczyt swój dźwiga — to nowa Warszawa.
Więc przybijaj do skał haki twarde,
Mur z granitu do stóp ściągaj liną
Aż się szczytu uczepisz oskardem,
Aż obłoki do stóp ci podpłyną.

Kiedy tyczką na błękit się wznosisz,
Kiedy taśmę na piersi przerywasz,
Kiedy dyskiem wiatr gonisz i kosisz —
Myśl o kielni, o młocie i dźwigach!
Na stadionach, na skoczniach i bieżniach,
Gdzie się parzy krew z słońcem i wiatrem,
Ładuj siłę i wolę, co nie zna
Niezdobytych norm w pracy i walce!

Biegnij! Laury zastąpi kwiat żywy,
Pieśń i uśmiech — i chwycisz je w biegu —
Jeszcze miniesz ten dom — i te szyny —
I ten most — i — biegnących kolegów,
Jeszcze oddasz pochodnię swą w blaskach,
Jeszcze młodszych i słabszym dłoń podasz...

O, radośniej jest biec, niżli klaskać,
Gdy zdobywa się ziemię od nowa!

Aleksander ROGALSKI

KATHOLIKENTAG 1949-1950

I. TEZY SPOŁECZNE

MAM przed sobą dwa pokaźne, liczące łącznie 750 stron tomy. Jeden z nich przedstawia dorobek 73-ego „Katholikentagu", który odbył się w Bochum w r. 1949, a drugi sumuje wyniki następnego dorocznego Zjazdu katolików niemieckich, który obradował w Altoetting i w Passau w r. 1950. Wydał Generalny sekretariat centralnego komitetu niemieckich zjazdów katolickich.

Z dużym zaciekawieniem bierze się do ręki te wydawnictwa, ponieważ gdzie jak gdzie, ale tam właśnie można spodziewać się zaczerpnięcia chyba najbardziej ważkiego materiału orientacyjnego w odniesieniu do dzisiejszego stanu katolicyzmu niemieckiego.

Lektura czyni zadość temu oczekiwaniu. Rzeczone publikacje, istotnie, umożliwiają wniknięcie w sam „warsztat" katolicyzmu niemieckiego doby obecnej i dostarczają aż nadto wiele refleksyj. Lecz zanim się nimi podzielimy z Czytelnikami, wpierw słów kilka o samej instytucji „Katholikentagów".

Posiadają one już za sobą przeszło stuletnią tradycję. Pierwszy bowiem ogólnoniemiecki zjazd katolicki odbył się w r. 1848 w Kolonii. Obradowano wtedy nad potrzebami czasu, centralnym problemem było „odnowienie ducha publicznego dzięki wierze chrześcijańskiej" oraz zajęcie stanowiska wobec wyłaniającego się w wielkich i groźnych zarazem wymiarach wskutek narastającej gwałtownej nędzy mas robotniczych — problemu społecznego. Trwałym wynikiem tego pierwszego niemieckiego zjazdu katolickiego było zespolenie się katolików w stowarzyszenia i związki pod nazwą „Katolickie Związki Niemiec" (Katholische Vereine Deutschlands). Urządzane następnie niemal rok po roku Zjazdy katolickie przez wszystkie najważniejsze organa katolicyzmu niemieckiego prowadziły w ciągu trzydziestu lat walkę z rządami wszystkich, ówczesnych liberalistycznych państw niemieckich i jako główny swój cel stawiały problem wolności Kościoła. W walce tej ukształtowały świadomość katolików niemieckich i utrzymały ją w stanie czujności. Były rok rocznie parlamentem opinii, zwierciadłem wydarzeń, miejscem klarowania się a co najmniej ogłoszenia przed tym już ustalonych pojęć. W ich ramach roztrząsane były wszystkie kulturalno-polityczne zagadnienia dziewiętnastego stulecia.

Od r. 1928 ze Zjazdem katolickim wiąże się posiedzenie przedstawicieli organizacji katolickich oraz specjalistów z szeregu dziedzin i zagadnień. W zespole takim omawiano w r. 1928 w Magdeburgu m. in. położenie religijno-dochowe Niemiec i zadania katolików, w r. 1929 we Fryburgu sposoby „ocalenia rodziny chrześcijańskiej", w r. 1930 w Monasterze „wychowanie chrześcijańskie", w r. 1931 w Norymberdze „Caritas" w duchu św. Elżbiety" a w r. 1932 w Essen problem: „Chrystus w wielkim mieście".

W r. 1932 urządzanie zjazdów katolickich zostało zabronione. Pierwszy więc po kilkunastoletniej przerwie zjazd odbył się dopiero w r. 1948 w Moguncji jako z kolei 72 „Katholikentag".

Historia tych 74 Kongresów Katolickich, odbytych między 1848 a 1950 rokiem to historia niemieckiej kultury katolickiej we wszystkich jej aspektach. Szkoda, że nie doczekała się ona sumiennego studium. Dowiedzielibyśmy się niewątpliwie wiele o szczytach katolickiego intelektualizmu, uzyskalibyśmy jednak również niepokojący przekrój konserwatyzmu społecznego, który natchnął linię programową polityki stronnictwa katolików „Centrum", uśpił czujność przed nadchodzącą epoką militarystycznego nacjonalizmu i gospodarczego imperializmu III Rzeszy.

LECZ centrum Zjazdu stanowiły posiedzenia sekcyj roboczych. Było ich jedenaście i obejmowały następujące zespoły zagadnień: 1) ojczyzna, dom i praca, 2) robotnik i pracodawca, 3) nowy ustrój własności, 4) osadnictwo i reforma rolna, 5) praca kobiet, 6) społeczna ochrona młodzieży, 7) opieka i ubezpieczenia społeczne, 8) korporacyjny ustrój syndykalistyczny, 9) zadania i granice władzy państwowej, 10) praca wychowawcza w służbie ładu społecznego, 11) praca społeczna w kraju i zagranicą. W sekcje te włączono również zagadnienia małżeństwa i rodziny, kwestie wysiedleńców i problemy higieny społecznej. Wszyscy delegaci, zanim udali się do swoich sekcyj, wysłuchali wpierw zasadniczego referatu prof. dra Richarda Egentera z Monachium p. t. „Budzenie sumienia religijnego podstawą budzenia sumienia społecznego". Obrady zakończyły się uchwaleniem przez sekcje generalnej rezolucji oraz uchwał szczegółowych.

Tezy społeczne zjazdu musimy niestety określić, jako karygodnie konserwatywne. Odbijał się na nich wyraziście program społeczno-polityczny CDU, t. zw. „Ahlener Programm". Dewizą jego jest połowiczność. Chodzi tam o przeprowadzenie całego szeregu formalnych posunięć reformistycznych, które by miały na celu rozładowanie zdeterminowanych nastrojów mas, w niczym nie naruszając istoty ustroju o charakterze typowo kapitalistycznym. Całość tez solidarystycznych nie wyjaśnia też w żadnym punkcie jak wyzwolić świat robotniczy spod egoistycznej a zachłannej władzy niemieckiego i kontrolującego go odgórnie — amerykańskiego kapitału.

Dokładne przedstawienie i dokładna analiza prac Zjazdu bochumskiego wypełniłaby też osobny tom. Tu możemy pozwolić sobie tylko na próbne zaznajomienie się z pewnymi ich wycinkami.

Sekcja, która zajmowała się kwestią robotniczą, w zakresie prawnej sytuacji pracy w przedsiębiorstwie ustaliła m. in., że konieczne jest wydanie ustaw, zabezpieczających prawo pracownika do pracy w stosunku do pracodawcy, prawo do miejsca pracy oraz zabezpiecze nie warunków życiowych bezrobotnego w ramach ogólnie pełnych ubezpieczeń socjalnych. Uznała też ona niezbędność prawa robotnika do samodzielnego współokreślania procesu produkcyjnego w fabryce przez robotnika, t. zw Mitbestimmungsrecht: „Przyjmowanie, lub zwalnianie sił roboczych, zmiana aparatu produkcyjnego lub programu produkcyjnego w kapitalistycznej gospodarce spoczywa wyłącznie w rękach przedsiębiorcy. Uznając prawo współstanowienia przedsiębiorca nie będzie mógł kierować się wyłącznie własną decyzją lecz będzie musiał decyzję tę uzgadniać z poglądami rady zakładowej". W tezach zjazdu w Bochum jednak brak jest jakichkolwiek wytycznych wskazujących na zabezpieczenie realnych praw robotniczych. „Mitbestimmungsrecht" — pozostaje jednak czystą teorią tak długo jak działalność związków zawodowych jest skrępowana i rozbijana tak przez policję jak i przez presję przedsiębiorców.

SEKCJA zajmująca się nowym ujęciem własności zakończyła swoje obrady uchwałą, w której czytamy m. in.: „Jako chrześcijanie-katolicy opowiadamy się za takim ustrojem społecznym i gospodarczym, który zasadniczo potwierdza własność prywatną i daje każdemu możliwości i prawo do zdobywania własności prywatnej. Obecny podział własności w ogóle sprzeczny jest ze sprawiedliwością społeczną i zagraża instytucji własności prywatnej. Dlatego domagamy się przeobrażenia własności".

Na czym to „przeobrażenie własności" ma polegać? Przede wszystkim na „uczciwej i dobrowolnej współpracy między kapitałem i pracą, między przedsiębiorami i robotnikami". Zyski przedsiębiorstw muszą być rozdzielone „sprawiedliwie" pomiędzy pracownikami, przedsiębiorcami i kapitałodawcami". Ale kiedy to się stanie? — „Gdy zmieni się struktura społeczna i gospodarcza" — odpowiadają katolicy niemieccy, obradujący w Bochum, bez żadnych zresztą precyzji co do tego terminu. „Wszyscy uczestniczący w gospodarce muszą wytworzyć nowy wspólnościowy stosunek produkcyjny".

Omawiana sekcja zaleciła dalej szukanie „skutecznych środków" celem umożliwienia tym, którzy nic nie posiadają, „stworzenia sobie mniejszej i średniej własności". Istniejąca mniejsza i średnia własność wymaga ochrony. „Na wielkiej własności, której generalnie potępienie jako nierzeczowe, odrzucamy, spoczywa ciężki obowiązek współdziałania w oparciu na zasadach sprawiedliwości społecznej w zakresie osadnictwa chłopskiego i jak najrozleglejszego stworzenia gospodarstw jak również drobnego osadnictwa zarobkowego. Dotyczy to samo przemysłowej, państwowej i kościelnej własności rolnej".

SOCJALIZACJĘ środków produkcyjnych katolicy bochumscy „odrzucają zasadniczo". Potężne zaś ośrodki produkcyjne, znajdujące się ze szkodą i z niebezpieczeństwem dla dobra ogólnego w rękach jednostek, polecają albo rozwiązać, albo, „jeśli to nie jest możliwe", „przekazać samodzielnym, mieszanym ze spółdzielczym lub też syndykalistycznym korporacjom". Wreszcie za zadanie państwa uważają oni „popieranie nowego kształtowania własności prywatnej i ochranianie drobniejszej i mniejszej własności".

Sekcja poświęcona badaniu ustroju syndykalistyczno-korporacyjnego orzekła, iż ustrój ten jest „jedyną, jaka jeszcze pozostała, drogą wyjścia z dzisiejszego społecznego i gospodarczego chaosu". Wzywa ona wszystkie koła katolickie do pogłębienia i spopularyzowania idei solidarystyczno-korporacyjnej a polityków, aby przynajmniej nie stawiali przeszkód w jej urzeczywistnianiu. Domaga się utworzenia przy centralnym komitecie Katholikentagów organów naczelnych i wykonawczych, mających na celu zakładanie wszędzie, gdzie tylko się da, przy współdziałaniu katolickich związków stanowych, ośrodków roboczych, które zajmowałyby się ustrojem stanowym i korporacyjnym jako „jądrem katolickiej doktryny społecznej".

W dalszym ciągu trzeba tu podkreślić ową mgławicowość postulatów reformistycznych. Kto i jak ma na przykład rozważać koncern Kruppa — lub go przekazać „syndykalistycznym korporacjom". Jakim sposobem państwo może „popierać nowe kształtowanie się własności", gdy jego agendy nie tylko kontrolują, ale wręcz kierują przed stawiciele Wielkiego Kapitału.

Te same pytania trzeba by zadać, gdy mowa o ustroju korporacyjnym, którego zrębów nie sposób nawet dostrzec w dotychczasowym ustroju gospodarczym „państwa bońskiego".

Istotnym błędem całej społecznej postawy, reprezentowanej przez Katholikentag nie jest jednak wyłącznie mglistość sformułowań. Jest przede wszystkim fakt, że program ten nie wyrasta z realistycznego kontaktu z potrzebami życia, lecz wyłącznie z intelektualnych opracowań grup czy jednostek od życia odciętych. Na ich idealizmie żerują jednak siły społecznie wsteczne, które czynią sobie z tych ogólników i konserwatywnych nastrojów tarczę, za którą buduje się ustrój o charakterze, jak się to już powszechnie stwierdza, reakcyjnym, militarystycznym, hołdującym najgorszym wzorcom kapitalistycznym i faszystowskim. Zjazd bochumski był wyrażeniem wany jako manifestacja, jako przegląd sił i uczuć religijnych katolicyzmu niemieckiego, jako potężny ośrodek impulsów życia nadprzyrodzonego. Lecz nie mogą nam imponować jego wyniki w zakresie wkładu katolicyzmu niemieckiego w dzieło kształtowania doczesnych, przyrodzonych warunków narodu niemieckiego.

Na czym rzecz głównie polega? Na tym, że organizm niemiecki cierpi na chorobę, która wymaga radykalnych środków leczenia. Tymczasem katolicy w Bochum przepisali mu szereg recept, które albo są mdłe, albo są nie do zrealizowania, ponieważ wymagają np. współistnienia dwóch zupełnie sprzecznych z sobą składników. Mam wrażenie, że trafnie sprawę ujął znany niemiecki chrześcijański działacz wschodniego CDU, a zarazem minister w rządzie Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Luitpold Steidle, gdy powiedział o Zjeździe katolickim w Bochum co następuje:

„NA Zjeździe katolików w Bochum w r. 1949 rozwijano wielki program roboczy dla młodzieży, wysunięto postulaty gospodarcze, uchwalono postanowienia, dotyczące terminatorów, kwestii mieszkaniowej, kwestii taryfowej, kwestii nauczycielskiej, równouprawnienia kobiety itd. I co, pozostało z tych planów? Nic! Absolutnie nic! Po prostu dlatego, ponieważ w tym ustroju państwowym nie było to do urzeczywistnienia. Dane osobistości lepiejby uczyniły gdyby przed ogłoszeniem tych oświadczeń gruntownie zastanowiły się nad tym, dlaczego w państwie Bonn tak wiele rzeczy, nawet rzeczy rozstrzygające pozostać muszą w sferze złudzeń..."

Jednocześnie na przykładzie przytoczonych tu uchwał Zjazdu katolików w Bochum znajdujemy dodatkowe potwierdzenie tego istniejącego w starej mentalności niemieckiej zjawiska dualizmu, rozszczepienia duchowego, które tak uderzało zawsze nie tylko zagranicznych myślicieli i obserwatorów ale także wielu niemieckich, a które przejawiało się m. in. w sprzeczności między wielkimi nieraz wzlotami duchowymi, wielką żarliwością religijną a nieprawdopodobną niemocą w sferze praktycznego działania.

W żadnym innym narodzie może sfera przeżyć religijnych nie wykazuje w tak wysokim stopniu tendencji do bytowania własnym, odrębnym życiem, tendencji do takiego odrywania się od życia praktycznego jak w narodzie niemieckim. Zjawisko to w jeszcze większej mierze aniżeli na zjeździe w Bochum wystąpiło na zjeździe katolickim, urządzonym następnego roku, t. zn. w r. 1950 w Passau-Altoetting. Problemom społeczno-gospodarczym wyznaczono tam w ogóle rolę drugorzędną i roztrząsanie ich przyniosło jeszcze bardziej ogólnikowe wnioski aniżeli nawet w Bochum. Nacisk położono we wszystkich sekcjach na konieczność uprawy życia kontemplacyjnego, nadprzyrodzonego. Wygłoszono nawet szereg niezwykle ciekawych i głęboko ujętych referatów, które przynoszą zaszczyt katolickiej teologii niemieckiej jak np. „Rzeczywistość katolicka w świetle encykliki „Mystici Corporis" (prof. Hoefer), „Najświętsza Maria Panna i królestwo Boże" (prof. R. Graber) oraz trzy prelekcje słynnego teologa i pisarza ks. prof. Romana Guardiniego o religijnej odpowiedzialności człowieka wobec Boga. Oświadczono tam jednak popadając w skrajny minimalizm, że w zakresie kształtowania doczesnej rzeczywistości katolicy mogli jeno zalecać pewne środki lecz nie mogli nigdy niczego zrealizować i że **„W tym mieści się pewien tragizm ludzi chrześcijańskich..."**.

NAD dzisiejszym katolicyzmem niemieckim ciąży bagaż złych tradycji, choć trzeba przyznać, że mieści on w sobie też niejedną rzecz cenną lub nawet czcigodną. Ale na ogół jednak obciążenia myślowe konserwatywne utrudniają ogromnie poruszanie się w dzisiejszym niesłychanie skomplikowanym i do gruntu zmienionym świecie. Katoliccy filozofowie, socjolodzy, ekonomiści, którzy obradowali w Bochum nie ujawnili dostatecznej świadomości tego olbrzymiego przewrotu, jaki dokonał się w Niemczech. Tam zaś gdzie dostrzegli konieczność reform, to dla zaleceń terapeutycznych sięgnęli do apteki, w której znalazły się przeważnie stare, zwietrzałe, nieprzydatne lekarstwa. Noszą one napis: „Solidaryzm", „Ustrój stanowy", „Korporacjonizm" itp.

Jest to jednak może jeszcze mniej szkodliwy przejaw nałogów tradycyjnego, konserwatywnego myślenia w katolicyzmie niemieckim. Gorzej, gdy ciążenie niedobrej przeszłości przejawi się w dziedzinie politycznej. A nastąpiło to w całej pełni na Katholikentagu w Bochum. Krótko mówiąc był on m. in. również w i e l k ą t r y b u n ą r e w i z j o n i z m u n i e m i e c k i e g o.

I dlatego Zjazdowi katolickiemu w Bochum przyjrzymy się ponownie od tej już tylko a nas szczególnie interesującej strony — w następnym artykule.

Aleksander Rogalski

Drogi i

Ignacy RUTKIEWICZ

LUDZIE „ŹLE MYŚLĄCY"

ŻYWOTNOŚĆ i dynamizm katolicyzmu francuskiego są znane powszechnie. Nie można wprawdzie epatować się ilością tytułów czasopism i środowisk intelektualnych, która jest bezsprzecznie duża, ale zarazem kryje w sobie poważnie niebezpieczeństwo rozpraszania sił i wyczerpywania ich w niekiedy mało twórczych dyskusjach marginesowych. Obecnie jednak w związku z dość ogólnym zjawiskiem przesuwania się w prawo ongiś bardzo radykalnych ośrodków myśli katolickiej—jak „Esprit" czy „La Vie Intellectuelle", nie mówiąc już o „Témoignage Chretien" — każdy głos opinii intelektualistów katolickich, wykazujący niebezpieczeństwo lansowanej przez blok amerykański potwornej mistyfikacji równoznaczności terminów: kultura zachodnia — kultura chrześcijańska, z uwagi na stawianie w ten sposób w pozycji bardzo dwuznacznej i moralnie co najmniej wątpliwej Kościoła i jego zasady uniwersalizmu — musi być przez nas powitana szczególnie radośnie. Dlatego czujemy się w obowiązku zasygnalizować istnienie we Francji nowego, młodego środowiska intelektualnego, jakim jest miesięcznik „Les Mal Pensants". Nazwa ta znaczy dosłownie „ludzie źle myślący" i jest bez wątpienia świadomą parafrazą i przeciwstawieniem znanego terminu francuskiego „bien pensants" — ludzie „dobrze myślący". „Bien pensants" to „prawowierni" mieszczanie katoliccy,

bezdroża

utożsamiający skrajny konserwatyzm społeczny i myślowy z prawdziwą wiernością Kościołowi, to ludzie nie umiejący wyjść poza ciasne podwórko swych zastarzałych nawyków myślowych i zuchwale anektujący sobie prawo do jedynie autentycznej intepretacji katolicyzmu. W pewnym sensie — francuska odmiana dulszczyzny moralnej i intelektualnej. Zatem „mal pensants" to ludzie, którzy wzięli na siebie odium walki z powierzchowną i płytką „prawowierności", będącą w swej istocie niczym innym jak lenistwem umysłowym i nieumiejętnością patrzenia nieco dalej niż koniec własnego nosa i... własnej kieszeni.

Zespół „Mal Pensants" istnieje dopiero trzeci rok czy raczej trzeci sezon. Trudności finansowe, z jakimi musi się borykać ten młody i niezmiernie ambitny zespół, powodują, że pismo ukazuje się tylko jesienią i zimą z przerwą na okres letni. Rolę swoją pojmuje zespół „M. P." — według słów jednego z członków zespołu redakcyjnego B. Girette — jako pomost między pewną publicznością, reprezentowaną w znacznej części przez ruch studencki, a siłami pokoju, sprawiedliwości i postępu społecznego. Pierwsze sześć numerów pisma poświęcone było poszukiwaniom własnej drogi i wykrystalizowaniu własnych pozycji ideowo-politycznych. W rezultacie zespół doszedł do pewnych ustaleń zasadniczych, które sprowadzają się do stwierdzenia: „Wybraliśmy Chrystusa i Jego Kościół... oraz... świat współczesny". Droga zespołu to kroczenie po wypadkowej konsekwencji obu tych zasad. Wierność Kościołowi i Jego nadprzyrodzonemu posłannictwu i wierność historycznym koniecznościom społecznym mają być wykładnikiem pozycji ideowej środowiska.

NIE jest to pozycja łatwa. Tezy powyższe można było bez trudu, a przynajmniej z daleko mniejszym ryzykiem głosić lat temu siedemnaście, czy nawet jeszcze przed 4 laty, ale przełom roku 1949-50, kiedy narodził się zespół „Mal Pensants", nie stanowił momentu, w którym tezy te na terenie francuskim mogły być głoszone bez ogromnego wkładu odwagi nie tylko intelektualnej i moralnej, ale i jak najbardziej osobistej. „Żyjemy w epoce rozłamu między dwoma światami... wybraliśmy drogę budowania i uczestniczenia w świecie, który powstaje, w świecie nadziei". Na terenie francuskim dostrzega środowisko „M. P." podział na dwa obozy, jeden z nich dysponuje potęgą ekonomiczną i wykorzystuje dla swych interesów osiągnięty ład (czy raczej osiągnięty nieład) oraz instytucje, które go utrzymują... drugi jest masą świadomą swej siły, zdecydowaną narzucić światu swą wolę, wyzwolić się i wziąć na swe barki odpowiedzialność za nowy kształt społeczności narodowej.

Dwoma faktami najbardziej znamiennymi dla współczesnego etapu historii są — zdaniem „M. P." — dojście do świadomości proletariatu oraz zrodzenie się świadomości narodowej ludów kolonialnych. Fakt pierwszy warunkuje — drugi. Na tym tle nabiera wyrazistości owo stwierdzenie o podziale świata francuskiego na dwa obozy: jeden z nich to ludzie nie umiejący pogodzić się z prawem przemijania epok historycznych, świat drugi to ludzie wpatrzeni w jutro i zdolni wyciągnąć pełne konsekwencje z podanych przed chwilą dwu faktów zwrotnych historii współczesnej. Konsekwencjami tymi są postulaty: podjęcie odpowiedzialności za ludzkość przez nią samą i praca nad budową lepszego świata. Praca ta winna wyrażać się wysiłkiem w kierunku wyzwolenia człowieka z alienacji, które na nim ciążą (w pierwszym rzędzie alienacji ekonomiczno-politycznych, ale także i alienacji socjologicznych, dalej alienacji wypływających z przestrzałych postaw myślowych, kompleksów psychologicznych), które szkodzą rozwojowi człowieka.

Na obecnym etapie historii losy świata leżą w rękach klasy robotniczej i ludzie chcący szczerze pracować dla przyszłości muszą znaleźć się w szeregach sojuszników sprawy proletariatu. Ruch robotniczy — stwierdza środowisko „Mal Pensants" — jest obecnie, po przebyciu długiej drogi od nieśmiałych początków syndykalizmu, istotnym protagonistą w dziedzinie politycznej i dochodzi coraz mocniej do głosu w sferze kultury i sztuki. Nie chodzi już dzisiaj o polepszenie, czy wtórną zmianę położenia materialnego klasy robotniczej: obecnie sprawa się toczy o „promocję" robotniczą, o postawienie proletariatu w pozycji klasy odpowiedzialnej za historie i taki jest sens współczesnego etapu historii. Mówiąc językiem marksistowskim, nie idzie już o zmiany ilościowe, ale o zasadniczy skok jakościowy. Nie ulega wątpliwości, że proletariat ten cel osiągnie, prędzej czy później, ale nie jest rzeczą obojętną jaką postawę wobec tego procesu historycznego zajmą katolicy.

W TYCH warunkach problem postawy Kościoła wobec przyszłości, która się rodzi, musi być dla katolików problemem wagi pierwszorzędnej. Środowisko „Mal Pensants" opowiedziało się za Kościołem, ale i za światem współczesnym. „Kościół jest zagrożony... niebezpieczeństwo jest wewnętrzne... bowiem dialog z proletariatem jest dla nas możliwy tylko z pozycji Kościoła, a wśród katolików brak zrozumienia dla tej potrzeby. Kościół przychodzi do nas i zwraca się do nas poprzez struktury — tak socjologiczne, jak i myślowe — które są całkowicie niezdolne wyrazić powołanie religijne człowieka współczesnego". Wewnętrzną katolickość postawy środowiska „M. P." podkreśla stwierdzenie: „człowiek jest wolny. Szatan działa w świecie, życie jest nieustanną walką przeciw siłom zła i ucisku".

„Wydaje mi się, że najbardziej istotną zdobyczą zespołu „Mal Pensants" jest postulat wewnętrznej chrystianizacji świata. „Nasza własna oryginalność — pisze L. J. Rondeleux — polega na tym, żeśmy się urodzili w innym świecie, niż np. ludzie „Esprit"... w świecie tym postanowiliśmy pozostać, ponieważ zawiera on naszą prawdę, prawdę człowieka naszego czasu, a my nie możemy zaprzeczyć tej prawdy nie zdradzając człowieka i Boga... naszym zadaniem jest właśnie pozostanie w tym świecie i odkrywanie w nim chrześcijańskiej możliwości życia". Ten świat — to jednak dla zespołu „Mal Pensants" — przede wszystkim ich własne, głównie mieszczańskie środowisko — to ludzie współcześni, w swej głównej masie stojący poza Kościołem i poza czynną aktywnością rewolucyjną. To ludzie przesyceni mieszczańskim stylem życia, skazani na wewnętrzną rozterkę w obliczu załamywania się tego wszystkiego, w co kazano im dotąd ślepo wierzyć. Zespół „M. P." deklaruje chęć rechrystianizowania tego świata od wewnątrz. Innymi słowy jest to postulat pozostania w tym świecie po to, aby przywieść go do Boga, do Kościoła Chrystusa. Jest to również jednak postulat zwrócenia tego świata ku przemianom społecznym, lecz których zło pozostanie nietknięte. Walka o przemianę moralną, jaką przynosi chrześcijaństwo światu współczesnemu, jest bowiem nie do pomyślenia bez jednoczesnej rewolucji ustrojowej, w której współpracować muszą wierzący z niewierzącymi".

Może dla dopełnienia obrazu dodać trzeba jeszcze jedno. Ludzie zespołu „Mal Pensants" zwracają swe oczy ku proletariatowi, do którego — ich zdaniem — należy przyszłości świata. Ale odczuwają oni w całej pełni wagę własnych obsiążeń socjologicznych i wpojonych im przez wpływ otoczenia i wychowania przesądów klasowych, które w tak ogromnym stopniu utrudniają im porozumienie z proletariatem. Ten przedział psychiczno-społeczny, stojący między nimi a proletariatem — to przypadłość większości, jeśli nie wszystkich katolickich środowisk intelektualnych, które są zdecydowane wziąć udział w walce o lepszy świat ramię w ramię z klasą robotniczą i którym brak przesłanek do wspólnego języka. Zespół „M. P." stawia tezę o konieczności „pójścia między ludzi" — „pójścia na terminowanie u tych, którzy mieszkając obok nas na sąsiednim przedmieściu, są od nas tak oddaleni, jak ludzie z odległych wysp".

TAKIE są założenia i decyzje teoretyczne środowiska „Mal Pensants". A jak wygląda praktyka? Przeglądając wypowiedzi ludzi tego środowiska, zawarte w ich artykułach, na aktualne zagadnienia polityczne, można ocenić ich wysoce niezależną orientację i dużą samodzielność myślenia. Dalecy jesteśmy oczywiście od wielbienia niezależności jako takiej, która często czy najczęściej jest lękiem przed stanowczym zaangażowaniem. Tutaj mam na myśli tę okoliczność, że ludzie „M. P." umieją stawić odważnie czoło narastającej we Francji psychozie antykomunizmu, że umieją otwarcie i bezkompromisowo powiedzieć tę prawdę, że tzw. krucjata antykomunistyczna jest dla katolika nie do przyjęcia ze względów zasadniczych: wiary nie szerzy się siłą, a trudno powiedzieć zresztą, aby ludzie rządzący dzisiaj w USA, czy we Francji mieli prawo do wyrażania opinii katolików, a oni przecież najgłośniej mówią o obronie wiary!

„Mal Pensants" mają odwagę — a dzisiaj we Francji trzeba mieć na to wielką odwagę, jak tego dowodzi chociażby ostatnie stanowisko dziennika „Le Monde" — głosić, że współżycie dwu ustrojów jest możliwe. Zdaniem ich, dialog jest możliwy i tylko w drodze wymiany poglądów można osiągnąć rozładowanie napięcia. Środowisko „M. P." w przeciwieństwie do „progressistes" nie opowiada się wręcz za bezpośrednim akcesem do obozu politycznego, na czele którego kroczą komuniści, ale podkreśla z dużym naciskiem, że komuniści wykazują istotnie szczerą wolę rozładowania napięcia na drodze pokojowej.

BARDZO jasne i mocne jest stanowisko środowiska „M. P." w kwestii kolonialnej. Ludzie tego zespołu umieją rozróżnić słuszne prawo ludów kolorowych i kolonialnych do wolności od fałszu mistyfikacji o jedności „wolnego" świata. Czy to będzie problem koreański, w którym redaktor „M. P." G. Suffert wypowiada się stanowczo, że „to wojska USA walczą w Korei, a nie siły Narodów Zjednoczonych", czy będzie to problem vietnamski, gdzie Lucien Mercier miał odwagę stwierdzić, że rząd francuski jest winien pogwałcenia zawartych poprzednio umów z rządem Ho-Chi-Minha i winien rozpętywania równie zbrodniczej co bezmyślnej wojny — wszędzie widzi się rzetelną wolę odcięcia się od fałszów psychozy antykomunistycznej, paraliżującej trzeźwy osąd rozsądnych ludzi katolickiej opinii Zachodu. Ta pozycja to nie wybieg taktyczny, lecz głębokie przeświadczenie, że nadeszła chwila, w której ludy kolorowe są zdolne podjąć odpowiedzialność za swe losy, tak jak nadeszła ta chwila dla proletariatu i jego „promocji społecznej".

Środowisko „Mal Pensants" było także bodaj jedynym ośrodkiem myśli katolickiej we Francji, który miał odwagę jawnie i energicznie zaprotestować przeciwko nadużyciu prawnemu, jakim jest nowa ordynacja wyborcza do parlamentu francuskiego. W słowach pełnych gryzącego sarkazmu pisano: „Za każdym razem postępuje się tak, jak gdyby mniejszość (sc. parlamentarna) nie istniała... aby uprościć sprawę, można by postępować tak, jak gdyby nie istniał Parlament. Nieprawdaż, Generale? (nie trudna do rozszyfrowania apostrofa pod adresem generała de Gaulle, wymarzonego przez konserwę francuską dyktatora kraju)".

„Les Mal Pensants" są środowiskiem młodym, co zresztą niejednokrotnie podkreśla się bez specjalnej żenady. Z jednej strony jest to zjawisko pomyślne ze względu na zwiększoną łatwość uzyskania rezonansu w środowiskach młodzieżowych, od których zachowania się ideologicznego zależeć będą przyszłe losy katolicyzmu francuskiego. Z drugiej — nasuwa to obawę, że zasób doświadczeń życiowych i intelektualnych tych ludzi może się okazać niewystarczający w zetknięciu ze wzmożoną presją moralną i polityczną obozu proamerykańskiego, aby zachować postawę autentycznie katolicką w sensie uniwersalistycznym, której dowody daje Środowisko teraz bezsporne.

NAJWIĘKSZE zastrzeżenia z naszej strony budzi fakt bardzo niekonkretnego sprecyzowania praktycznej postawy politycznej ludzi zespołu „Mal Pensants". Powiedzieliśmy wyżej, że Środowisko wydaje się odrzucać możliwość konkretnego zaszeregowania się politycznego w toczącej się dzisiaj walce. Bezkompromisowa postawa grupy „M. P." w odniesieniu do najbardziej palących problemów współczesności — problemu pokoju, problemu „promocji społecznej" proletariatu i problemu wyzwolenia narodowego ludów kolorowych i kolonialnych — poparta wyrazami szczerego przyznawania się do Kościoła i uznawania bezspornego autorytetu Hierarchii kościelnej w sprawach wiary, moralności i jurysdykcji kapłańskiej, zasługuje niewątpliwie na wielkie uznanie. Ale Środowisko, które wypracowuje przez siebie sformułowań ideologicznych, ideowo-politycznych nie przeniesie na grunt praktyczny, konkretnego zaangażowania się politycznego — jest skazane z góry na dosyć abstrakcyjne intelektualizowanie. Wartość ideologii sprawdza się nie w drodze spekulacji myślowych, ale na drodze praktycznego wcielania jej w życie. W świecie dzi-

(Dokończenie na str. 10)

SPROSTOWANIA

W wierszu Józefa Szczawińskiego pt. „Opowieść o sercu szarego człowieka" („Dziś i Jutro" nr. 47) wkradł się błąd korektorski.

Powinno być: przesiewanymi z ręki lewej do prawej, a nie jak wydrukowano: przesiewany z ręki lewej do prawej.

*

W artykule p.t. Współpraca — rozwój — pokój, Nr 46.

W części II wiersz 13-sty od góry: wydrukowano: W okresie międzywojennym stosunki gospodarcze pomiędzy Związkiem Radzieckim a krajami socjalistycznymi od r. 1930 rozwijały się pomyślnie.

Powinno być: w okresie międzywojennym stosunki gospodarcze pomiędzy Związkiem Radzieckim a krajami kapitalistycznymi do r. 1930 rozwijały się pomyślnie.

Alfred GERARD

Nad „DOKTOREM FAUSTUSEM"

1 LIPCA. Zaczynam czytać książkę Tomasza Manna: „Doktor FAUSTUS". Jest to życiorys niemieckiego kompozytora Adriana Leverkuhna, opowiedziany przez jego przyjaciela. Przyjaciel ten nazywa się Serenus Zeitblom i występuje w roli autora olbrzymiej biografii, liczącej przeszło 800 stron ścisłego druku.

Zamiarem moim jest: odtworzyć przebieg procesu wartościowania dzieła literackiego w ramach dziennika lektury. Będę w nim notował uwagi i spostrzeżenia nasuwające się w toku bezpośredniego obcowania z tą powieścią. Chciałbym sporządzić raport sprawozdawczy, by zawrzeć w nim dzieje pewnej przygody duchowej, która prędzej czy później stanie się waszym udziałem, współcześni.

2 lipca. Klasyczny opis dzieciństwa Adriana. Styl suchy, kronikarski i pedantyczny. Pisarz chyba się jeszcze nie rozgrzał. Kiedyż przezwycięży żargon referatu? Ścisłe to, ale bezbarwne. Ani śladu Manna, z „Góry czarodziejskiej". Tam od razu zrobił atmosferę. Tutaj coś się stało. Uczony zastąpił artystę.

Źle ze mną. Nie czuję nurtu książki. Nuda to przedsmak kapitulacji. Może ona być dowodem absolutnej głuchoty estetycznej. Nie wolno się temu poddawać. Należy czytać cierpliwie, aż wreszcie chwyci nas prąd przebiegający pomiędzy słowami.

3 lipca. Ojciec małego Adriana, pokazuje synowi kolorowy atlas przyrodniczy. Rozwija w nim świadomość organiczoności istnienia. Teraz oglądają egzotycznego motyla: Hetaera esmeralda. Pierwsze przeszywające doznanie.

Zapowiedź pełni kobiecej. Ucieleśniona różowość.

4 lipca. W szkole przede wszystkim interesuje go matematyka. Widać nie na darmo rozwija w sobie zmysł proporcji. Przeczuwa mistykę cyfr. Zasadę muzycznej harmonii. Jego mistrzem będzie Pitagoras upatrujący w liczbie boską istotę wszechświata.

Zaczyna się ciekawy okres. Adrian odbywa studja gimnazjalne w domu swego wuja, fabrykanta instrumentów. Zewsząd otaczają go skrzypce, basy i flety. Trąby naładowane utajonym brzmieniem. W powietrzu drga wiele niewyzwolonych melodii. W tych dźwięcznych kształtach potencjalna zawiera się moc. Powstaje pokrewieństwo między człowiekiem a rzeczą. Otoczenie potęguje w nim twórcze skłonności.

5 LIPCA. Leverkuhn chodzi do szkoły w mieście zamieszkałym przez wielu dziwaków i ludzi na pół obłąkanych. Dzieci biegają za nimi po ulicach, śmieją się i drwią, podrygując tuż za plecami wariatów, a gdy się który odwróci, uciekają nagle przerażone. Po raz pierwszy pojawia się tutaj motyw czarownicy. Demoniczne współczynniki zaczynają grać. Trzeba widocznie ukazać genezę złowrogiej muzyki kompozytora. Wywieść ją z czasów młodości. Dla mnie to wszystko jest za mało dziwne. Nie rozumiem dlaczego ci groteskowi idioci pojawiają się wciąż mimochodem. Można ich było przecież ukazać w bezpośrednim zderzeniu z chłopcami na przykład w trakcie sprowokowanej przez malców pogoni. Potem zostaje szok na całe życie. Taka scena spotęgowałaby zamierzoną tu chyba gwałtowność demonicznego doznania.

6 lipca. Zeitblom wykrywa niepokojące cechy swego przyjaciela. Mówi o jego przerażającej obojętności wobec życia. Cóż z tego, że jest prymusem, skoro nawet własne umiejętności nic go nie obchodzą? Zdaje się być niewzruszony i obcy w stosunku do tego, co wie. W tej chwili ukazuje swój profil nieludzki. To zostało genialnie zrobione.

Ileż w tym powściągliwej dyskrecji. W kilku słowach: cała osobowość. Serenus utrzymuje, że młodość nie może uważać wszystkich wartości za względne, bo myśląc tak, do niczego nie dojdzie. Jedynie w atmosferze wiary można się prawidłowo rozwijać. Walor absolutny posiada dlań tylko znaczenie wychowawcze. Jest potrzebny, bo wzmaga aktywność. Temu pojęciu nie odpowiada jednak nic rzeczywistego. W rozróżnieniach tych odnajduję daleki pogłos kantyzmu. Nie zapuszczajmy się lepiej w tę stronę. Na razie wystarczy pamiętać, że Leverkuhn nieledwie od dzieciństwa spoufalony był z relatywizmem. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

7 LIPCA. Zeitblom podsłuchuje Adriana grającego na fisharmonii. Jest to pierwsza nieśmiała próba kompozycji wzruszająca, na pół utajona. Naglony ciekawością, Serenus wchodzi do pokoju. Leverkuhn natychmiast odrywa ręce od klawiszy. Uśmiecha się i czerwienieje. Siedzi zawstydzony. Potem stara się to zlekceważyć. Zostaje jednak wciągnięty w rozmowę. Zwolna się oswaja. Wyjawia mu swoje zdumienie powstające na skutek odkrycia związku istniejącego pomiędzy wszystkimi dźwiękami. Ich układ tworzy w jego pojęciu kompozycję koliście zamkniętą. Idzie o wykrycie stosunków zespalających ze sobą akordy. Zamierzenie to kusi Adriana. Ponieważ każdą melodję można grać w wielu tonacjach, muzyka z natury rzeczy okazuje się czymś wieloznacznym. Są to pierwsze spostrzeżenia chłopca, podane w sposób naiwny i prosty. Ale już w nich odnaleźć można dyspozycję twórczą.

8 lipca. Wielkie rozczarowanie. Postać Leverkuhna przesłonił mi dziś całkowicie jego nauczyciel muzyki Kretschmar, świetny i zapalczywy jąkała, wulkan erudycji na wielu stronach rozlanej. Wiem, że jest on siłą kształtującą talent tego chłopca — ale czy musi nieprzerwanie gadać? Tu naprawdę zakłócone zostały wszystkie konieczne proporcje. Trzeba przebrnąć przez szereg wykładów. Zastanowiła mnie jedna uwaga. Kretschmar twierdzi, że sztuka, pozbawiona swej naturalnej łączności z kultem religijnym, zatraca swoją istotę. Staje się zjawiskiem powierzchownym i epizodycznym. Z chwilą gdy odcięto ją od liturgii, cała jej dotychczasowa odświętność przestała ważyć i znaczyć. Lecz nastrój absolutnej powagi, ów patos towarzyszący cierpieniu — pozostał. Obcując ze swoim mistrzem, Adrian musiał się zorientować, że punkt ciężkości kultury leży właściwie poza nią. W swoim obecnym stadium wyraża ona jedynie ów stan przeraźliwego osamotnienia osobowości wykorzenionej i obcej w obliczu świata tajemnic. Nic dziwnego, że człowiek wychowany w takiej atmosferze zapragnął w końcu odnaleźć drogę wiodącą prosto do źródeł. Po ukończeniu gimnazjum wybrał się na teologię, aby tę więź zespalającą religię i sztukę odnaleźć. Jako ewangelik wstąpił rzecz prosta na wydział kształcący przyszłych pastorów...

9 LIPCA. Nie mogę tutaj omawiać wszystkich zagadnień, z jakimi nasz bohater kolejno się zmaga. Muszę wybrać problemy przedstawione najbardziej plastycznie, jako że w dziele literackim obchodzą nas przede wszystkim obrazy, a nie efektowne abstrakcje. Ale czy na pewno? Chociaż postanowiłem pisać tylko o powieści, grozi mi konieczność zreferowania traktatu filozoficznego. Coraz bardziej dziś płynne granice między gatunkami zostały w książce Manna nie tylko przekroczone, ale zupełnie zatarte. Rzecz ta wyrosła z żądzy wszystkości. Stała się encyklopedią ilustrowaną przez fakty, niezdolne nadążyć za myślą pisarza. Dałby się z tego wykroić wielki tom essayów, obejmujący dosłownie tysiące najbardziej pasjonujących i podstawowych spraw absorbujących człowieka od wieków. Nie ma dziedziny, którą by tu pominięto. Ten autor zmierzył się z całym światem. Dał epos ogarniający współczesność. Dlatego słowo: recenzja, brzmi w obliczu wielkości tego wysiłku wręcz śmiesznie. Gdybym chciał zdać sprawę z „Faustusa", musiałbym napisać książkę i dobrać sobie do pomocy zespół specjalistów obeznanych z dylematami muzyki współczesnej. Kisiela nam tutaj potrzeba, Panufnika, Alfreda Gradsteina. Bez pomocy kompozytorów nie może być mowy o rozszyfrowaniu zawartości tego monumentu. Potrzeba krytyki zespołowej wyłania się tutaj z nową gwałtownością jako postulat całkowicie dojrzały do realizacji. Mówiąc o tej powieści, naprawdę przypominam kogoś, kto umoczywszy palec w oceanie, usiłuje dać ludziom pojęcie o jego rozmiarach. Elementarna uczciwość wobec czytelnika podyktowała mi to kategoryczne i gorzkie wyznanie. Niech sobie nikt nie wyobraża, że jakikolwiek artykuł może dać mu przedsmak tego, czym jest ta najśmielsza próba konfrontacji naszego istnienia z wszechświatem. Nie mogąc mówić o całości, wydobędę z niej motyw naczelny, ale to jest tak, jak gdybym z olbrzymiej tkaniny jedną niteczkę wyciągnął. Bądźmy świadomi sztuczności tego zabiegu. O, jakże okrutną wydaje mi się wszelka selekcja i eliminacja dokonana w obrębie rzekomo „mniej ważnych" składników nieprzebranego bogactwa.

10 LIPCA. Zacznijmy od tego, co powiedział Zeitblom trafnie odtwarzający kierunek zainteresowań swego przyjaciela. Skonstatował on, że teologia uprawiana w specyficznych okolicznościach, nader łatwo przekształca się w demonologię. Dzieje się tak zwłaszcza wówczas, gdy całą uwagę uczonych pochłania widzenie grzechu i jego korzeni. Rozrastająca się żywiołowo wiedza o tych sprawach nieraz już przesłoniła im Boga. Czytając to trzeba ciągle pamiętać, że autor ujmuje tu chrześcijaństwo z protestanckiego punktu widzenia. Idąc dalej stwierdzamy, że zło, na każdym kroku widoczne, jest empiryczną rzeczywistością bezpośrednio dostępną badaniu w przeciwieństwie do dobra istniejącego zawsze fragmentarycznie i raczej wyjątkowo na nienajlepszym ze światów.

11 LIPCA. Przypatrzmy się teraz postaci docenta Schleppfusa. Leverkuhn słucha jego wykładów. Niestety — wiele korzysta. Ponieważ zawsze obchodziło go piekło, musiał w końcu natrafić na rzeczoznawcę wstrętnego przedmiotu. Ów teolog wpaja weń przekonanie, że zło istnieje jako konieczne przeciwstawienie czystego żywiołu świętości. Reprezentuje on dialektykę siły fatalnej. Co więcej — wyznacza jej stałe miejsce w obrębie bytu ludzkiego, Zajmuje stanowisko bardzo niebezpieczne. Sugeruje, że to, co ujemne, jest nieuniknione. W ten sposób wprowadza zło do istoty wszechświata. Przy tym nieraz po cichu zdaje się usprawiedliwiać jego egzystencję mocną jak prawo natury. Tak rozumując, szuka konsekwencji. Uważa, że nasza wolna wola jest szansą diabelską. Daje nam ona prawo wyboru nieszczęścia i klęski.

Pytanie: dlaczego Bóg nie pozbawił nas możności grzeszenia, wiedząc, że pozostawieni sobie, na pewno grzeszyć będziemy — to pytanie brzmi groźnie. Zawiera się w nim tajemnica. Wszak wiemy, że dana nam kiedyś swoboda była początkiem tragedii. Świat pomyślany został jako teren próby w istocie katastrofalnej dla wielu. Skoro dobro pierwotnie było nam dane — wolność zaistniała od razu jako okazja piekielna. Utajono w niej jad potępieńczy. Była ona wyzwaniem rzuconym ludzkiej — łatwej do przewidzenia słabości. Protestancki teolog dostrzegł w tym wyzwoleniu człowieka przez Stwórcę coś w rodzaju zasadzki kosmicznej. Być może na pół bezwiednie otworzył wrota rozpaczy. Nie wytworzyliśmy w sobie sami skłonności do złego. Te dyspozycje wszczepiono nam w zmysły i krew. Spowodował ją grzech pierworodny. W rezultacie miliony pokoleń cierpieć muszą na skutek bliżej nieokreślonego wybryku dwojga istot moralnie nieodpowiedzialnych. Ta historia po prostu źle się zaczęła. Dlatego trudno sobie wyobrazić, by mogła dobrze się skończyć. Wielu jest powołanych, lecz mało wybranych. Bolesne skażenie tkwi u podstaw bytu, a człowiek własnymi siłami nie może osiągnąć zbawienia. Czy naszą winą jest, że przyszliśmy na świat dziedzicznie obciążeni? Przecież nawet ofiara Krzyżowa nie odmieniła zepsutej natury człowieka — twierdzi Schleppfus.

Prawda. Niebo zostało otwarte i Łaska działa poprzez Sakramenty. Lecz szatan widać świadomie nie został pozbawiony swoich wielkich szans. Dano mu wielką potęgę. W porządku doczesnym Schleppfus podświadomie pewien jest jego przewagi. Leverkuhn zaraża się tym przekonaniem. Nie wierzy, by mógł osiągnąć swe cele inaczej jak tylko przy jego pomocy. Ostatecznie wszystko zostało urządzone tak, by wolność dana większości na zgubę, doprowadziła ją w końcu do piekła. Łaski nie każdy doznaje. Największy grzesznik może otrzymać ją w

---

Leszek PROROK

Trudności

(z prac Sekcji Prozy ZLP w Poznaniu)

TŁUMACZE są obecnie en vogue. Nigdy jeszcze nie tłumaczyło się tyle, co obecnie. Ożywienie wydawnicze na tym polu pociąga za sobą zainteresowanie teoretycznymi podstawami tłumaczenia, jako samodzielnego gatunku literackiego. Zainteresowanie to znalazło swój wyraz w zeszłorocznym kursie dla tłumaczy, zorganizowanym przez Pen-Club, wyraża się w coraz częstszych pracach z dziedziny teorii przekładu na łamach pism literackich. Najbardziej jednak znamiennym przejawem „epoki tłumaczy" jest powstanie stałych zespołów tłumaczy, pogłębiających swą problematykę w ramach organizacji sekcji twórczych ZLP.

Prowincjonalne środowiska literackie, często nieliczne, nie zawsze posiadają odpowiedniki wszystkich sekcji, utworzonych przy Zarządzie Głównym ZLP w Warszawie. W Poznaniu literaci-tłumacze wchodzą w skład Sekcji Prozy, która szereg konferencji roboczych poświeciła ich potrzebom.

Na ostatniej naradzie tego typu w dn. 30.X. br. o swych doświadczeniach i kłopotach tłumacza mówiła Kazimiera Iłłakowiczówna. Wybitna pisarka, znana społeczeństwu przede wszystkim z twórczości poetyckiej, posiada w swym dorobku szereg przekładów. Specyficzna problematyka niektórych tłumaczeń dostarczyła obfitego materiału do prelekcji i późniejszej dyskusji w zespole sekcji.

Pierwsze większe tłumaczenie K. Iłłakowiczówny to „Don Carlos" Schillera, przełożony w latach 1931—32 dla Teatru Narodowego w Warszawie. Na życzenie ówczesnego kierownika literackiego teatru, St. Miłaszewskiego, tłumaczka zarzuciła biały wiersz oryginału i wniosła własną formę poetycką — rym asonansowy. Stosując go zresztą po raz pierwszy, poetka odniosła z pracy nad 5000 wierszy poematu niemałe korzyści dla twórczości własnej.

Licznych kłopotów przyczynił pisarce przekład „Egmonta" Goethego, dokonany również przed wojną dla Teatru Polskiego w Warszawie. Kłopoty te wykraczały poza ścisłe ramy przekładu, wpływając na stosunek do autorskiej koncepcji postaci, konfliktów i tła dramatu. Tłumaczka przyznała szczerze, iż w toku pracy widziała Egmonta odmiennym zupełnie od rysunku Goethego i jego komentarzy w „Dichtung u. Wahrheit". Wierna wyznawanej zasadzie, że twórczy wkład pracy tłumacza pozwala na uwypuklanie czy bardziej wyraziste podmalowanie cech utworu lub poszczególnych osób, skłonna była na pierwszy plan dramatu przesunąć tłum mieszczan niderlandzkich, traktowany przez autora z posmakiem groteski, a zdetronizować Egmonta. Przewidywana reżyseria Leona Schillera pozwalała spodziewać się silnej akcentacji scen masowych *). Jednak niewzruszalność wiersza Goethego, wytyczonego prosto i równomiernie, nie dopuszczającego żadnych odchyleń w przekładzie, udaremniła ten zamiar.

W czasie wojny, spędzonej na Węgrzech, Iłłakowiczówna rozpoczyna tłumaczyć z węgierskiego. Borykając się początkowo z trudnościami językowymi, korzysta z pomocniczego, filologicznego przekładu na niemiecki. Szczególnie ciekawe są losy powieści „Abel na puszczy" Arona Tomasi. Pragnąc udostępnić literaturę węgierską żołnierzowi polskiemu, internowanemu na Węgrzech, pisarka poszukuje książki jak najbardziej reprezentacyjnej dla węgierskiej kultury literackiej, a zarazem popularnej wśród szerokich rzesz czytelników. Rezerwa inteligencji węgierskiej wobec uchodźców polskich utrudnia zasięgnięcie porady co do wyboru dzieła. Wreszcie Iłłakowiczówna zapytuje przypadkowo poznaną robotnicę węgierską o jej ulubioną książkę i dowiaduje się o powieści Arona Tomasi.

Książka pisana jest gwarą seklerską, odbiegającą znacznie od węgierskiego języka literackiego. Technika przekładu przedstawia się zatem następująco: studenci, którym pisarka udziela lekcji języków obcych, umożliwiają jej przekład na niemiecki. Z tego „półfabrykatu" powstaje następnie literackie tłumaczenie polskie, wydane nakładem budapesztańskiej firmy wydawniczej dla internowanych Polaków. Tłumaczka nie uważa jednak swego przekładu za ostateczny. Zdaniem jej dopiero dalszy przekład powieści na polską gwarę podhalańską oddałby pełny charakter utworu. Skomplikowane koleje pracy nad „Ablem na puszczy" miały dla doświadczeń tłumaczki szczególnie odkrywczy charakter.

Najnowszą a zarazem największą pracą pisarki w omawianej dziedzinie jest nowe tłumaczenie „Anny Kareniny" Tołstoja, ukończone w bież. roku. Oba dotychczasowe polskie przekłady, niestaranne i pełne usterek, stanowią groźne memento dla tłumacza. Proza Tołstoja w przekładzie odbiega niesłychanie łatwo od charakteru oryginału. Tak wydanie niemieckie, tchnące typową „Heiterkeit", której brak w oryginale, jak i skrócony przekład francuski, wyrażają zupełnie inną atmosferę, niż powieść rosyjska.

Jednym z najważniejszych rozstrzygnięć w pracy nad Tołstojem stanowi wybór odpowiedniego języka. Proza pisarza rosyjskiego sprawia miejscami wrażenie, jakby autor tłumaczył własny tekst z francuskiego. Np. dla prozy tej znamienne są liczne powtórzenia, umiejscowione w bezpośrednim sąsiedztwie. Właściwość ta bliska jest językowi francuskiemu, który nie pielęgnuje synonimów. Powstaje kwestia, czy właściwość tę utrzymać, czy sprowadzić ją do przeciętnych proporcji języka polskiego. Podobną cechą jest unikanie spójników, częstych w rosyjskim, zastępowanie ich również bliską francuskiemu spójnią logiczną zamiast językowej. Dalsze praktyczne kwestie to np. odrzucenie, czy też pozostawione patronimików

*) Oba dramaty klasyków niemieckich nie doczekały się wystawienia. „Don Carlos" został wydany książkowo.

TOMASZA MANNA

ostatniej chwili, choć po ludzku sądząc, nigdy o nią nawet nie zabiegał. Zasłużyć na to nie można, bo żaden nasz czyn najpiękniejszy, nie jest w stosunku do ogromu Łaski wartością współmierną i wystarczającą do jej uzyskania. Pozostaje więc tylko odwołać się do miłosierdzia Bożego i nie przypisując swoim wysiłkom zbyt wiele, wciąż wzywać Jego pomocy.

Nie trudno zauważyć, że cała ta protestancka teologia w ujęciu docenta Schleppfusa istotnie przemienia się w demonologię i demonstrację piekielnej przemocy szatana. Jest w tym pewien ponury fatalizm, poczęty z ducha kalwinizmu, gdzie z góry się już niejako zakłada, że pewien odsetek ludzi został przedwiecznym wyrokiem skazany na potępienie. Ponieważ do ostatniej chwili nie wiadomo wedle jakiego klucza Bóg dokonuje podziału — życie przekształca się w jeden akt lęku i drżenia. Jest ono, zgódźmy się — złym interesem i nieudanym projektem na wielkość. Czyż Ten, który nas kocha, nie mógłby zapewnić nam szczęścia bez tych wszystkich ryzykownych i przeraźliwych męczarni, które jeszcze na dobitek złego mogą skończyć się wiecznotrwałą porażką? Komu było to potrzebne, żebyśmy cierpieli? Kto twierdzi, że tylko na tej drodze można człowieka duchowo rozwinąć i przysposobić dla Nieba — ten przeczy istnieniu wszechmocy, na pewno rozporządzającej innymi możliwościami rozwoju człowieka. Dlaczego Bóg jest miłością, a życie jest okrucieństwem wyraźnie wskazującym na to, że tutaj kto inny nim włada?

Mann oczywiście nie solidaryzuje się z protestantyzmem w tej jego złowrogiej i rozpaczliwej postaci. Ale w obliczu sformułowanych tutaj dylematów, samo chrześcijaństwo staje się w oczach autora czymś zagadkowym i sprzecznym. Można je przyjąć jedynie za cenę rezygnacji z własnych zdolności poznawczych. Wówczas jednak wypadnie nam stwierdzić, że umysł nasz nie został stworzony na miarę boskich tajemnic. Powinien on ukorzyć się przed tym, czego nie dano mu pojąć, poskramiając swą pychę i zgubną ciekawość: ten pierwszy stopień do piekła. Tak więc na kartach „Faustusa“ odżywa znów stary spór pomiędzy Settembrinim a Naphtą, znany nam już z „Góry czarodziejskiej“. Tam także teolog ścierał się z humanistą, broniącym praw intelektu do roztrząsania wszystkiego, co mu do wierzenia podano. Lecz Naphta był jezuitą. Schleppfus reprezentuje typ świeckiego teologa w stylu protestanckim. Fizycznie przypomina Mefistofelesa. Jest zresztą wyraźnie opętany obsesją diabelską. Specjalizuje się w demonicznych zagadkach.

Ale porzućmy już teren tych abstrakcyjnych rozważań. Wystarczy przyjąć do wiadomości, że Adrian przestał studiować teologię, uwierzył w doczesną wszechmoc szatana i wkrótce zawarł z nim pakt już w okresie swych studiów muzycznych.

12 LIPCA. Skoro inaczej postąpić nie można, wypadnie się skupić na jednej kwestii centralnej. Ujmując rzecz w najbrutalniejszym skrócie powiem, że „Doktór Faustus“ jest opowieścią o kompozytorze, który zaprzedał duszę diabłu wzamian za 24-letni okres genialnej twórczości. Powody tej strasznej decyzji nie zostały wyjawione w sposób jednoznaczny. Robert Kemp uważa, że zbrodnia ta zrodziła się ze spóźnionego wtajemniczenia w miłość fizyczną. Leverkuhn zaznał jej w „domu dziewcząt“. Wybrana przezeń Haetera esmeralda ostrzegła go przed swoim ciałem. Powiedziała mu, że jest chora. Wyznanie to było aktem miłości zdolnej uśmierzyć jej naturalne pragnienie.

On jednak nie poskromił go w sobie i zbliżył się do niej z całą świadomością. Ten głód trucizny okazał się czymś demonicznym. Kochanka wszczepiła weń chorobowe toksyny diabelskie. Od tego czasu organizm jego zaczął dojrzewać dla piekła. Przejął go jad potępieńczy. Ten oryginalny i złowrogi pomysł potraktowany został szkicowo.

W obrębie powieści nie mógł się rozrosnąć z dostateczną siłą. Można sobie wyobrazić, co by z tego zrobił Ibsen. Mann dał tylko zalążek dramatu. Wolał ukazać jego dalekonośne konsekwencje, aniżeli punkt wyjścia późniejszej tragedii.

W każdym razie skonstatować trzeba, że ten, kto wymienia swą duszę za twórczość, działa pod wpływem motywów bardziej wyrafinowanych nawet od „Fausta“ Goethego. Tamten chciał przede wszystkim młodości. Adrian natomiast — zmuszony został do rezygnacji miłosnej. Szatan nie pozwolił mu nikogo kochać. Pragnął go mieć zimnym, dlatego niszczył i usuwał z drogi przedmioty jego uwielbienia. Uważał widocznie, że wielka sztuka nie pozostawia miejsca dla kobiety, ponieważ pochłania te same energie.

Rozważmy teraz drugą ewentualność. Wiele wskazuje na to, że Leverkuhn uosabia demonizm psychiki germańskiej, kuszonej przez diabła faszyzmu. W zamian za krótki czas panowania nad Europą, naród zaprzedał się piekłu, byle osiągnąć ów stan triumfalnej i władczej ekstazy. Tak, ale w istocie każdego uniesienia zawiera się jakieś inferno. Odurzenie jest początkiem końca.

13 LIPCA. W tym dziele Manna splotły się ze sobą dwie odrębne książki. W jednej z nich Zeitblom odtwarza historię rozwoju twórczości swego przyjaciela. Mówi o jego życiu, lecz przede wszystkim o jego symfoniach. Rzec można — wysławia je po kolei — znajduje słowa dla dźwięków. Czytając to, słyszymy nieledwie jak te kompozycje powstają. Serenus ukazuje nam Leverkuhna przy pracy. Takich relacji daje bardzo wiele. Gniew mój wywodzi się stąd, że nie mogę ich tutaj przytoczyć, a są to rzeczy odkrywcze. Równolegle z biografią Leverkuhna przebiega rozprawa Tadeusza Manna z hitlerowskimi Niemcami. Portret opętanego kompozytora ukazuje się na tle szatańskiej furii wojennej narodu. Zarówno Adrian jak i jego nieszczęsna ojczyzna zmierza w tej opowieści ku piekłu. Odpowiednikiem tego marszu ku nicości są dwie katastroficzne symfonie bohatera: „Apocalypsis cum figuris“ i „Lament doktora Fausta“. W tych dziełach rozbrzmiewa historia wielkiej przegranej. Dokonało się w nich zespolenie osobistego dramatu potępieńca z przeraźliwym i wstrząsającym motywem klęski narodowej.

Leverkuhn kończy obłędem. Hitleryzm ginie w ruinach ogarnięty płomieniem piekielnym. Do tych rozmiarów sprowadza się schematyczna relacja. Nie wolno na niej poprzestać. Trzeba ją rozpracować w szczegółach.

14 LIPCA. Wypadnie nam jeszcze wyrazić istotę trzeciego dramatu, który w tej książce wydaje się najboleśniejszy. Mówiąc o nim mam na myśli rozprawę Tomasza Manna z Niemcami. Pytanie, czy można uniknąć odpowiedzialności za czyny swego narodu — pojawia się tu bezustannie. Jest ono jątrzące i ostre. Wynika zeń jednak drugi, jeszcze groźniejszy dylemat: Wyrasta on z przekonania, że nikt nie może się wymknąć spod władzy zbiorowego losu. Czy człowiek chce czy nie chce, jest ze swoimi na zawsze sprzężony. W żadnym wypadku nie zdoła się od nich odżegnać, istnieje bowiem głębsza ponad wszystko wspólnota pokoleń kształtujących swą własną historię. Któż zdoła wyłączyć się z tego kręgu bez zdrady? Łatwo tak deklamować, trudniej wczuć się w duchowy kataklizm pisarza. W dziele tym, stworzonym podczas wojny, Tomasz Mann powiedział: Trzeba, aby Niemcy były pokonane, ponieważ ich zwycięstwo byłoby nieszczęściem dla całej ludzkości. Jeśli naród popełnia zbrodnie, kierunek jego działania przestaje nas obowiązywać. Więź zespalająca człowieka z innymi posiada charakter moralny. Nie istnieje pojęcie wspólnoty za wszelką cenę. Lecz w danym wypadku cenne są rozróżnienia klasowe. Trzeba odróżniać naród od warstwy panującej nad jego robotniczą i chłopską większością. Zło może być dziełem przemocy klasowej. Kapitalizm narzuca wojnę proletariuszom swoim i obcym. To on wdraża ludy do zbrodni, ponieważ sam jest przestępstwem. Oskarżenia Manna powinny były zostać skierowane pod jedynie właściwym adresem junkrów i przemysłowców finansujących podboje Hitlera. Ich zbyt ogólny charakter nie może zadowolić ludzi wychowanych w szkole myślenia socjologicznego. Krzywdząca musiała okazać się próba utożsamienia reakcyjnego rządu ze steroryzowanym przez niego narodem.

15 LIPCA. „Apolacypsis cum figuris“. Ta kompozycja powstała przed wojną. Przeczuła i zapowiedziała ją w całej osnowie. Była głosem nadciągających katastrof. Wystarczyło ujrzeć Leverkuhna przy pracy, by pojąć, jak się klęska już zawczasu przemienia w melodię. Patrzmy mu teraz na ręce, warto zobaczyć, jak tworzy, dobywając akordów historii. Przestudiował już teksty biblijne i wysłuchał lamentu proroków. Teraz czterogłosowe chóry zaczynają rozwijać motyw skargi Ezechiela. Albrecht Dürer nadaje tym wizjom kształt ostateczny. Adrian syci swój wzrok drzeworytami. Haetera esmeralda pojawia się oto: widać jadącą na bestii. Imię jej stwarza harmonję.

Leverkuhn zmierza do źródeł. Znowu natęża słuch. Szuka pieśni w słowach Jeremiasza. Z Dantem przemierza Inferno. Jeszcze mu nie dosyć. Sięga do mitrów greckich. Z Charonem schodzi w podziemia. Razem przewożą umarłych przez Styks, przez czarną rzekę zapomnienia. Na drugim brzegu tłum z martwych powstaje i błyszczą maski demonów. Potępieniec osaczony przez grono szyderców zostaje przez nich porwany. Ciągną go — wloką za sobą, straszną podróż na ich ramionach odbywa, oniemiały w obliczu nicości. Adrian nie może owym widzeniom nadążyć. Ogłuszony wielością rozbrzmiewających w nim głosów, kreśli nuty jak czarne okrzyki, jak znaki burzy świetliście połyskującej na szczeblach. Coraz wyżej wznosi się gorąca fala. Trzeba uchwycić jej zarys. Patrzcie, jak się natchnienie przekształca posłuszne żelaznemu prawu dyscypliny i organizacji. Tomasz Mann obnaża działanie zmysłu proporcji toku procesu twórczego. Widać, jak kompozytor wiąże elementy, aby z nagłego porywu wydobyć matematycznie ścisłą strukturę narastającej w nim nieprzerwanie symfonii. Oto konstrukcja pałająca, a już ujarzmiona.

SKORO nie można opisać całego życia i świata, należy wyzwolić go w śpiewie. Rozłożyć na głosy to, czego jednym tchem nikt wypowiedzieć nie zdoła. Dać odpowiednik niemieckiej podróży do piekieł przy akompaniamencie wszystkich instrumentów. Już widać wznoszące się trąby, z których buchają płomienie. Czytając słyszę ten łoskot bębnów i bomb. To Adrian pośród walących się miast — Adrian uderza w klawisze, piekło przyzywa na pomoc, niezmordowanie wygrywając swą Apokalipsę.

Artysta i jego naród razem zmierzają w otchłanie, lecz on drogę tę pragnie wyśpiewać, aby oprzeć się zatraceniu i nieśmiertelnym być pośród katastrof.

Adrian przebieg istnienia przełożyć chce na orkiestrę — los swój do krzyku natężyć. Dlatego tygodniami mocuje się z niewyrażalnym, przeczuwa dobrze i wie: u kresu widnieje ekstaza.

16 lipca. Jak oddać wycie demonów nieodłączne od żywiołu klęski?. Zawodzenie ich staje się głównym tematem. Ów stan porażenia ostateczności jeszcze się potęguje. To wybuch paniki akustycznej, któremu bębny i kotły wtórują, kościsty wybijając takt, głuchy i przejmujący, ciężki jak zejście śmiertelne. Do tego miesza się jazz. Pałające rozniecа inferno. I znowu groza rozbrzmiewa. Nagły przejmuje ją śmiech, ten szyderczy spektal diaboliczny, nieprześcigniony w wyrazie. Grają to teraz na fletach i słychać przy tym świst błyskawicowy — rechot rozdzierający sklepienia.

Mamy tu cały zmierzch bogów, odchodzą już, pociągają za sobą mieszczaństwo i dogorywające wśród ruin zburzonej już — przedwczorajszej epoki. Stąd lament doktora Fanusta na rumowiskach Europy.

Leverkuhn wyprzedził tu nieco czas swojego życia, lecz w tonację wieku trafił nieomylnie i już w niej na zawsze pozostał. *Alfred Gerard*

Od redakcji

Dla pełniejszego przedstawienia problematyki „Doktora Faustusa“ i ostatnich osiągnięć pisarskich Tomasza Manna zamierzamy powrócić do omawianego w powyższym artykule dzieła oraz zająć się innymi utworami tego pisarza.

tłumacza

lub polszczenie tych imion, które mają swe odpowiedniki w języku polskim, czy zachowanie brzmienia oryginalnego, co przesyca książkę swoistą egzotyką.

Końcowe rozważania prelegentka poświęciła problemowi adiustatora, jako opiekuna tłumacza, przyznając temu ważnemu ogniwu pracy nad przekładem nazbyt może wielką rolę i uprawnienia w stosunku do autora tłumaczenia.

Wyznania literackie, zwłaszcza na konferencji warsztatowej, rzadko postulują i rzadko zawierają rozstrzygnięcia. Najczęściej demonstrują problemy i trudności, przedkładają wątpliwości, prowokują wypowiedzi koleżeńskie. Tych ostatnich nie zbrakło i tym razem.

Najwięcej zastrzeżeń i sprzeciwów wywołało ujawnienie pokusy sensorycznego retuszu tłumaczenia „Egmonta”. Atak na tłumaczy w tej płaszczyźnie poprowadził Wojciech Bąk. Przekład nie może schodzić do rzędu adaptacji czy aktualizacji. Dowolność i samodzielność w uwypuklaniu i podkreślaniu elementów dzieła ma swe granice, wytyczone intencją autora i sensem utworu jako całości. Zupełnie jednak inaczej należy ocenić stosunek do surowej prozy Tołstoja. Zarzuty trafiającego się czasem ubóstwa słowa, kierowane pod adresem mistrza z Jasnej Polany, nie są słuszne. Asceza stylu wynikła tu z szybkości myśli geniusza, któremu zaabsorbowanie treścią nie pozwoliło na postoje dla cyzelowania słów. Forma nie zawsze jest w stanie nadążyć za treścią, powoduje to nie tyle ubóstwo, ile oszczędność słowa. Tu zatem językowe uformowanie tej prozy, likwidacja usterek, jeśli takie się znajdą, nie przekracza w żadnym wypadku dozwolonych granic, gdyż na pewno nie pozostaje w sprzeczności z intencją autora. On sam dokonałby niewątpliwie poprawek tam, gdzie treść nadmiernie wyprzedziła formę.

Ciekawie zarysowała się sprawa hierarchizacji różnych gatunków tłumaczenia i ustawienia przekładu pośród innych gatunków literackich. Propozycja A. J. Kamińskiego podziału na tłumaczenie i przekład została w toku dyskusji odrzucona. Tłumaczenie w tym ujęciu stanowiłoby wierną, nie odbiegającą od rzetelnego rzemiosła, techniczną niemal, czynność transpozycji słów i zdań z jednego języka na możliwie najbliższe odpowiedniki innego języka. Do tej kategorii należałyby zatem również tłumaczenia naukowe, dyplomatyczne, handlowe itp. Artystycznym tłumaczeniem jest przekład. Wzbogaca on czynność poprzednią o niedające się ściśle ustalić quantum twórczości osobistej tłumacza, przenoszące nie tylko literalny sens słów, lecz zarazem metaforę, jaką wyraża z reguły dzieło literackie. Specyfika tej formy literackiej sprawia, że przekład góruje nieraz nad oryginałem. Z kolei szczytowa forma przekładu to napisanie na nowo utworu czyjegoś w innym języku. Tej miary osiągnięciem jest „Książę niezłomny” Calderona w przekładzie Słowackiego.

Dyskutanci uznali, że podział ten jest raczej sztuczny, nadaje różną treść synonimom. Prof. W. Kubacki zaproponował podział na tłumaczenie i „przepolszczenie” (termin często używany w I poł. XIX w.), ewt. spolszczenie, które oznacza adaptację utworu przez tłumacza rezygnującą z absolutnej wierności, jaka winna być podstawą każdego tłumaczenia. To ostatnie bowiem nie ma prawa retuszować intencji autora i podbarwiać czy odbarwiać jego postaci. Nie uczyniła zresztą tego Iłłakowiczówna, a jej wyznanie o sprzeciwie wobec niektórych rozwiązań tłumaczonego autora jest zrozumiałe u tłumacza uprawiającego zarazem twórczość oryginalną. Tego rodzaju tendencje winny się raczej wyzwalać w utworach własnych na temat prac przekładanych. Tendencje takie mogą odegrać rolę cennych inspiracji, popychających w kierunku nowych ujęć dawnej problematyki, a przynajmniej w kierunku polemiki artystycznej. Twórca nie może jednak przy przekładzie przekroczyć granic zakreślonych działalności tłumacza.

Z drugiej strony prof. Kubacki sprzeciwił się stanowisku T. Kraszewskiego, redukującemu pracę tłumacza do ram technicznych, rzemieślniczych. Przekład pojęty poważnie, jest niewątpliwie twórczością artystyczną w najgłębszym znaczeniu tego słowa i to bynajmniej nie najłatwiejszą.

Obecnie zarzuciliśmy metodę „przepolszczania”, a tłumaczenie współczesne opiera się na teorii odpowiedników. Tłumaczenie — odpowiednik, pojęty oczywiście wszechstronnie, jako odpowiednik treści, lecz również rodzaju wiersza, stylu, składni itp. elementów dzieła. Odpowiednik nie jest jednak tożsamością i ta różnica sprawia może, iż brak jest tłumaczeń identycznych, adekwatnych. Natrafiamy na tłumaczenia lepsze lub gorsze od oryginału. Te drugie są oczywiście znacznie częstsze. Zato wielki pisarz z reguły poprawi swym przekładem dzieło mierniejszego talentu. Częste są przypadki częściowego ulepszenia pewnych partii utworu, przy niedomogach osiągnięć w innych częściach. Zjawisko to ilustruje przekład „Boskiej komedii” E. Porębowicza, a nawet „Książę niezłomny”. Ogólnie zyskały w przekładzie A. Zagórskiej dzieła Conrada, którym Anglicy zarzucają szereg słowianizmów i usterek językowych. Przekład polski jest od nich wolny, a przez to wyrasta ponad oryginał.

W przygotowaniu tłumacza największą rolę gra zrozumienie aury literackiej, splotu ekonomiczno-społecznego, klimatu moralnego danej epoki itp. Tłumacz musi wczuć się w wielki zamiar twórczy autora. Tej naczelnej idei utworu winny być podporządkowane szczegóły formalne przekładu. Wybór utworu do przekładu jest równie ważny jak wybór tematu dla autora oryginału. Nie na każdy temat pisze się równie łatwo, swobodnie i twórczo. Nie każdego przekładu można dokonać artystycznie, opierając się tylko na znajomości języka czy nawet realiów. Między przekładem a tłumaczem musi istnieć ta sama har-

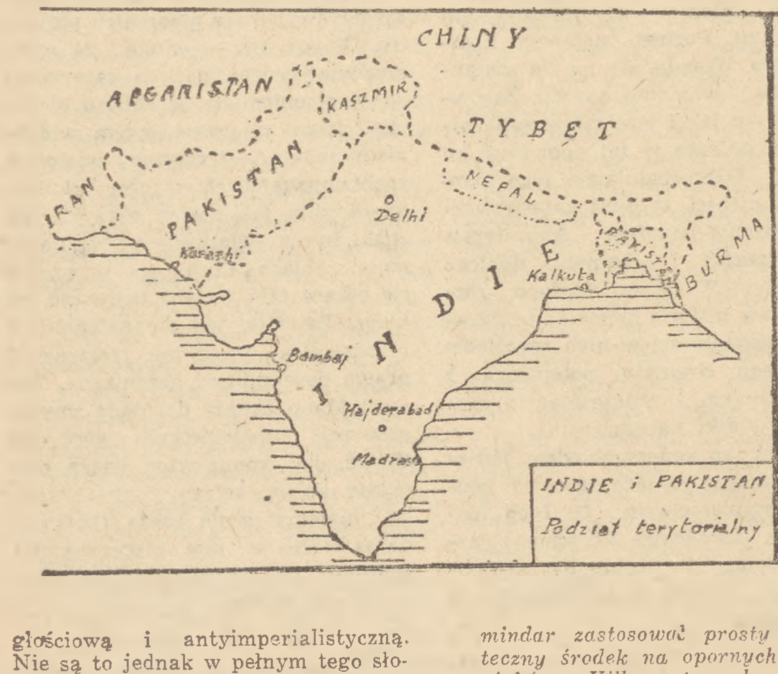
(Dokończenie na str. 9)

Jan POGORSKI

RODZĄ SIĘ NOWE INDIE

PIĄTA część ludności całego globu, najżyźniejsze delty świata, kolosalne zasoby naturalne, bajkowe wprost bogactwa radżów, a obok tego straszliwa nędza przeważającej większości mieszkańców, chroniczny głód, epidemie, ciemnota, najdziksze przesądy, ciągłe wrzenia, bunty i zamieszki na tle rasowym lub religijnym — oto dziedzictwo jednej z najstarszych i najświetniejszych kultur w dziejach ludzkości, a zarazem uproszczony obraz Indii Wczorajszych.

Niewątpliwie w ciągu ostatnich kilku lat dokonała się na olbrzymich obszarach półwyspu hinduskiego daleko idąca przemiana stosunków. Władza kolonistów angielskich została w znacznej mierze obalona. Na jej miejsce weszły rządy, które niewątpliwie reprezentują postawę niepodle



głościową i antyimperialistyczną. Nie są to jednak w pełnym tego słowa znaczeniu rządy ludowe. Władzę objęli ludzie reprezentujący wyraźnie środowiska burżuazyjne, dążący do utrwalenia władzy i przywilei przede wszystkim dla swojej własnej klasy. Nie naruszona pozostała też pozycja społeczna feudalnych władców przebogatych maharadżów. To wszystko powoduje, że jakkolwiek rządy obecne są niewątpliwie bardziej postępowe w porównaniu z dawnymi rządami angielskich dygnitarzy, to jednak walka między masami ludowymi a egoizmem klasowym burżuazji trwa nadal i trwać będzie tak długo, dopóki ludy kontynentu azjatyckiego nie wywalczą sobie prawdziwie nowoczesnych form ustrojowych.

Przez dwieście lat Wielka Brytania ciągnęła z Indii nieopisane korzyści nie tylko materialne, finansowe, ale i polityczno-strategiczne. Zaledwie cząstka dochodów czerpanych z Cesarstwa Indii szła na budowę dróg, mostów, kolei, fabryk w kraju wyzyskiwanym. A i te inwestycje czynione były pod kątem określonych, ściśle brytyjskich interesów i w minimalnych jak na potrzeby kraju — ilościach. Dość wspomnieć, że do dziś dnia na Gangesie, na odcinku między Benares a Kalkutą nie ma ani jednego mostu. Odcinek ten wynosi 700 km.!

Z dobrodziejstw brytyjskiej cywilizacji korzystała, co prawda, nikła warstewka książąt, wielkich feudałów czy bogatych kupców indyjskich. Olbrzymia zaś masa mieszkańców skazana była bądź na niewolniczą pracę w fabrykach i warsztatach, bądź na nędzny żywot wieśniaka uprawiającego prymitywnymi metodami cudzą ziemię.

Może nigdy brutalność angielskiego systemu kolonialnego w Indiach nie wystąpiła tak wyraźnie jak właśnie w dziedzinie agrarnej. Siedemset tysięcy wiosek, w których żyje trzy czwarte ludności, leży, po większej części, z dala od dróg i kolei budowanych prawie wyłącznie dla względów strategicznych. Chłopi indyjscy są prawie zawsze wyrobnikami lub dzierżawcami wielkich właścicieli ziemskich, t.zw. „zemindarów".

Jeszcze 150 lat temu byli to po większej części zwykli poborcy, którzy, od wieków ustalonym trybem, ściągali od chłopów podatki. Anglicy oparli się na nich pozostawiając im całkowitą swobodę w wyznaczaniu i pobieraniu opłat i danin podatkowych. Kasta zemindarów rosła w powagę i znaczenia. Dziś stanowią oni trzon wielkiej własności ziemskiej w Indiach.

A oto jak przedstawia zemindarów Margaret Burke White w swej najnowszej książce o Indiach powojennych:

„Spotkałam wielkiego zemindara Hajderabadu. Przodek jego zawędrował tutaj jako urzędnik podatkowy Wielkiego Mogoła, około roku 1650. Kiedy zapytałam się go ile hektarów liczą jego majątki, odpowiedział mi urażony: „Hektarów? Chciała pani powiedzieć — wiosek?"

I wówczas pomyślałam sobie o tej wygłodniałej gromadzie chłopów, których spotkałam tegoż ranka. Od tygodnia już błąkali się po różnych urzędach i ministerstwach obnosząc swe żale i skargi. Pochodzili z wioski, którą zakupił nowy zemindar i do której wprowadził nową ludność. Ponieważ nie chcieli opuszczać swych chat, ludzie nowego pana pobili ich dotkliwie nie oszczędzając kobiet i dzieci. Wreszcie, nowy zemindar zastosował prosty i skuteczny środek na opornych wieśniaków. Kilkunastu uzbrojonych ludzi stanęło przy wiejskiej studni broniąc dostępu mieszkańcom i stadom bydła. Zrozpaczonym chłopom nie pozostawało już nic innego jak opuścić wieś i udać się na poszukiwanie dalekiej sprawiedliwości."

Nie lepiej było i w uprzemysłowionych przez Anglików okręgach kraju. Tam, jeszcze kilkanaście lat temu, można było spotkać dzieci poniżej lat dziesięciu pracujące w fabrykach po 10 i 12 godzin dziennie za głodowe wynagrodzenie w wysokości kilku pensów.

Zaprawdę, rację miał Pandit Dżavarlal Nehru, kiedy w 1934 roku rzucił w twarz Anglikom oskarżenie: *„Wasze domy i majątki, bogactwa waszych ojców i dziadów, wasze koleje i wasze armaty — to wszystko powstało z nędzy i cierpień milionów moich braci!"*

„Najciekawszym faktem, jaki uderza nas w Indiach jest to, że ziemia jest tu żyzna i bogata a mieszkańcy cierpią wielką biedę." — pisze M. L. Darling w swym ogromnym dziele o indyjskiej kwestii agrarnej.

Nie mówiąc już o glebie, która przy umiejętnym nawodnieniu daje najbogatsze plony świata, wystarczy tylko wspomnieć o ogromnych bogactwach kopalnianych Indii, by uprzytomnić sobie ogrom możliwości, jakie stoją przed jej mieszkańcami.

I tak zasoby węgla kamiennego obliczane są na 60 miliardów ton, czyli że powinny wystarczyć na z górą 2.000 lat przy obecnym tempie wydobycia. Poza tym Indie posiadają bogate złoża nafty, rud miedzianych, żelaznych, magnezytu i manganezu (którego zeszłoroczny eksport do samych tylko Stanów Zjednoczonych wyniósł okrągło pół miliona ton).

Bawełna a zwłaszcza juta uprawiane są przeważnie w dzisiejszym Pakistanie.

A mimo to dochód narodowy na głowę mieszkańca był zawsze niesłychanie niski, wahał się bowiem przeciętnie około stu szylingów rocznie w latach 1920 — 1930. Później zaś. miast wzrastać, obniżał się jeszcze bardziej, aby w ostatnich latach przed Drugą Wojną Światową spaść do 80—90 szylingów rocznie na głowę mieszkańca.

W latach postępu i cywilizacji obserwujemy zwykle znany fakt, towarzyszący uprzemysłowieniu danego kraju: zwiększenie się ludności miejskiej, kosztem tej ludności, która oddaje się rolnictwu. Dzięki mechanizacji rolnictwa, uprawa roli wymaga coraz mniej rąk do pracy, co wpływa na zmniejszenie się stanu ludności wiejskiej. W Indiach natomiast zaobserwowano w ostatnich dwudziestu latach zjawisko wprost odwrotne. Ludność utrzymująca się z rolnictwa i pasterstwa znacznie wzrosła. Liczba zatrudnionych w miastach i przemyśle zmalała.

Fakt ten jest tym groźniejszy, że znane są opłakane warunki, w jakich żyje wieśniak indyjski. Wspomniana już Margaret Burke-White pisze:

„Niepodległość nie polepszyła, jak dotąd, w niczym sytuacji chłopów, którzy są zupełnie wyczerpani wiekową nędzą, klęskami takimi jak periodyczne susze lub powodzie. Chroniczny brak narzędzi do pracy na roli jest czynnikiem poważnie hamującym jakiekolwiek reformy czy ulepszenia w dziedzinie rolnictwa. Wadliwy jest poza tym sam system. Aby otrzymać ziarno na siew, chłopi zmuszeni są udawać się po pożyczkę do zemindara, który bierze z reguły ponad 18%, albo do banya, który pożycza na jeszcze wyższy procent, dochodzący do 1/3 a czasem do połowy pożyczanej sumy."

Statystyki wykazują do dziś, że najbardziej rozpowszechnioną wśród ludności Indii chorobą jest chroniczny głód, na który cierpi ponad 25 milionów ludzi i co najmniej dwa razy tyle jest stale niedożywionych. Toteż przeciętna długość życia ludzkiego jest tu niesłychanie niska. Według obliczeń z 1921 r. przeciętna ta wynosiła: 24,8 lat dla mężczyzn a 24,7 lat dla kobiet. Znaczy to, że przeciętny Hindus żył równo dwa razy krócej od przeciętnego zachodniego Europejczyka.

Wydawało się wielu ludziom, a przeważna część oświeconej opinii publicznej w Indiach podzielała ten pogląd, że całkowita niepodległość złagodzi ponurą rzeczywistość. Że będzie można od razu przystąpić do realizowania na olbrzymią skalę zakrojonego planu, pomocy najbiedniejszym, wielkich inwestycji, uprzemysłowienia krajów rozległego subkontynentu, mechanizacji rolnictwa, rozbudowy sieci dróg i kolei. Że Indie, stając się państwem niezawisłym, staną się również wielkim narodem i w krótkim czasie zajmą w świecie należne im, poczesne miejsce.

Tymczasem kurcze, towarzyszące narodzinom państwa, były tak straszne, że omal nie pogrążyły całego kraju w odmęt bratobójczej wojny i ogólnej katastrofy. Już w parę dni po ewakuacji Indii przez wojska i urzędy brytyjskie wybuchły zamieszki. Dwa państwa, różne, często wrogie, rodziły się w bólach i trudzie. Hindusi i muzułmanie poczęli mordować się wzajemnie. Buddyści, Sikhowie, Parsi stawali bądź po stronie Mahometan, bądź po stronie Vedystów. Cała mozaika narodów, języków (ponad 200 narzeczy) religii, kast, (ponad 2.000) zapaliła się ogniem walki.

Rządy dwóch państw — Republiki Indyjskiej i Pakistanu — powzięły trudną i uciążliwą decyzję wymiany ludności. Ponad pięć milionów Sikhów i Hindusów opuściło Pakistan, podczas gdy siedem milionów Muzułmanów przybyło z południa. Ta największa wędrówka narodów w czasach nowożytnych odbywała się po większej części pieszo. Na drogach rodziły się dzieci, umierali starcy. Tyfus, cholera, malaria, dziesiątkowały idących. Fanatycy religijni urządzali pogromy i rzezie innych fanatyków. Pakistan znaczy „Kraj Czystych" lecz wielu „czystych" nigdy doń nie dotarło.

Konflikt między Hindusami a Muzułmanami wyrasta w Indiach na tle głębokich różnic religijnych i obyczajowych tych dwóch antagonistycznych kultur. Niemniej trzeba odsłonić ponurą prawdę, iż olbrzymia część odpowiedzialności za rzezie, za nędzę nieszczęścia, za katastrofy wynikłe z rozdzielania tego kontynentu na dwa odrębne państwa ponoszą politycy angielscy. Oni to bowiem świadomie podsycali, jątrzyli konflikty religijne i narodowościowe licząc iż utrzymają się w Indiach na stanowisku super arbita. Przez wiele lat podkreślano w Wielkiej Brytanii z dużym naciskiem, że tylko obecność wojsk brytyjskich i brytyjskiej administracji zapobiega krwawej, bratobójczej wojnie. W okresie gdy załamywała się władza imperium brytyjskiego podsycano gwałtownie antagonizmy, by raz jeszcze posługując się tym pretekstem opóźnić godzinę nieubłaganej klęski.

Narodziny dwóch bratobójczych państw spowodowały cały szereg najdziwniejszych zagadnień natury czysto materialnej. Oto na przykład wszystkie banki Pakistanu zostały unieruchomione, ponieważ prawie wszyscy urzędnicy bankowi byli Hindusami. Pakistańska juta, największe bogactwo kraju, gniła w składach, bowiem wszystkie niemal przędzalnie znajdują się na terenie Republiki Indyjskiej. Natomiast z Indii zniknęli prawie zupełnie mechanicy, elektrycy, garbarze i krawcy, którzy jako Muzułmanie przenieśli się do Pakistanu.

Jakież były powody, które skłoniły hinduskich i muzułmańskich przywódców do rozpoczęcia tej olbrzymiej wędrówki narodów? Przez długie lata jedni i drudzy walczyli lojalnie, ramię przy ramieniu, o niepodległość. Lecz idea ustanowienia osobnego państwa mahometańskiego zrodziła się nie w głowie młodego fanatyka ani brodatego mędrca, ale w duszy zeuropeizowanego adwokata, o chudej, wygolonej twarzy, Mohammeda, Ali. Dżinnaha, leadera Ligi Muzułmańskiej. Przez długie lata Dżinnah pracował razem z Gandim i Nehru, aż wreszcie w roku 1947 zmienił nagle swoją linię polityczną.

Argumenty jego za podziałem Indii były dość przekonywujące. Muzułmanie — jak twierdził — są trzy razy mniej liczni od Hindusów, więc będą, rzecz prosta, zawsze w mniejszości. Kiedy Anglicy opuszczą Indie, wybuchną prześladowania religijne. Religia, kultura, zwyczaje, wszystko różni Hindusów od Mahometan. Chociażby drobny na pozór fakt stosunku do krowy. Hindusi czczą krowy i szanują je — Muzułmanie je po prostu zjadają.

Toteż w lutym 1947 r, Dżinnah rzucił Lidze Muzułmańskiej hasło tzw. „Wielkiego Czynu". Dzień ten był równocześnie dniem wybuchu długo tłumionej nienawiści religijnej. W rok później Pakistan, wykrojony w żywym ciele Indii, był już państwem liczącym ponad 80 milionów ludności.

Oba te kraje, tak Pakistan jak i Republika Indyjska, są członkami Narodów Zjednoczonych, a równocześnie członkami Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, jako niepodległe dominia. Indie jednak stale pomijają słowo „British" we wszystkich urzędowych publikacjach, zadowalając się tytułem „Suwerennej, Demokratycznej Republiki", która zgadza się pozostać we „Wspólnocie Narodów" (Commonwealth of Nations).

Władze hinduskie od pierwszej chwili swej działalności przystąpiły do generalnej przebudowy bazy przemysłowej gospodarki tego kraju. Projekty te wyraziły się w tak zwanym „Planie ekonomicznego rozwoju Indii" znanym ogólnie pod nazwą „Planu Bombayskiego". Plan ten projektuje w ciągu piętnastu lat podwoić obecny dochód narodowy na głowę mieszkańca. Produkcja rolna ma wzróść ponad dwa razy, a przemysłowa pięciokrotnie w stosunku do obecnej. Inwestycje na realizację tego planu mają kosztować fantastyczną sumę 35 miliardów dolarów. Jakkolwiek widzimy dziś w Indiach pewne zarysy tych śmiałych projektów, tym niemniej jednak kapitalistyczne formy gospodarki nie dają żadnych konkretnych gwarancji czy projekty te zostaną rzeczywiście zrealizowane.



Produkcja rolna jest jeszcze wciąż o wiele niewystarczająca. Rok rocznie Indie muszą importować około 4 milionów ton ziarna. A równocześnie rok rocznie rodzi się w samej Republice Indyjskiej trzy i pół miliona dzieci. Toteż na wiosnę tego roku klęska głodu wybuchła z nową siłą. Powodzie, trzęsienia ziemi, katastrofalna susza zeszłoroczna, szarańcza, dopełniły reszty.

W tej katastrofalnej sytuacji z pomocą przyszedł Indiom Związek Radziecki. Już 10 maja Pandit Nehru mógł uroczyście oświadczyć, że 50.000 ton najlepszego zboża radzieckiego było w drodze do pustych spichrzów Delhi. Stany Zjednoczone zobowiązały się jeszcze w grudniu zeszłego roku do dostarczenia 2 milionów ton wczesną wiosną. Wobec jednak zdecydowanej postawy Indii w ONZ i odmowy potępienia Chin Ludowych, Amerykanie zwlekali z dostawą. Temu nieludzkiemu szantażowi położył wreszcie kres apel Nehru, który w czerwcu zwrócił się do opinii publicznej świata, piętnując stanowisko rządu Stanów Zjednoczonych. W międzyczasie, tysiące ludzi umarło z głodu. Amerykański fotograf Werner Bischoff, którego zdjęcia polscy czytelnicy widzieli kilka miesięcy temu w tygodniku „Świat" opowiada, jak w przeciągu dwóch dni umarło z głodu w jego oczach pięciu ludzi we wsi liczącej niewiele ponad tysiąc mieszkańców.

„Rząd Indyjski — pisze Bischoff — *nie był w stanie zapewnić darmowego rozdawnictwa zboża wszystkim mieszkańcom. Poważna część musiała płacić. W prowincji Bihar, na przykład, tylko 1% ludności mógł korzystać z darmowych przydziałów. Przydział wynosił dla kupujących 875 gramów ziarna tygodniowo. W praktyce ze sprzedaży korzystać mogli tylko pracujący. Dla starców, samotnych kobiet i dzieci była to straszliwa tragedia. Widziałem, jak starcy, osłabli z głodu, wychudzeni jak szkielety wlekli się, drżąc na całym ciele. Do wieczora trzech umarło..."*

Nie są to jednak tylko zadania materialne, gospodarcze i społeczne. Dusza Indii oddawna skostniała w kleszczach przesądów, zabobonów, dziwacznych tradycji, budzi się zwolna i opornie. Jedną z większych przeszkód do normalnego życia jest system kast i pariasów, czyli Niedotykalnych. System ten został oficjalnie zniesiony przez Konstytucję, uchwaloną 26 stycznia 1950 r.

Rząd indyjski, mimo swych wyraźnych obciążeń wręcz reakcyjnych, mimo zarządzonych prześladowań w stosunku do hinduskich działaczy pokojowych, na arenie międzynarodowej zajmuje przeważnie stanowisko antykolonialne i antyimperialistyczne przyczyniając się tym do walki przeciw niebezpieczeństwu nowej wojny światowej. Uczeń i towarzysz Ghandiego, Pandit Dżavarlal Nehru tymi słowami żegnał Margaret Burke White w lecie b.r.

„Indie chcą pokoju, będą walczyć z kimkolwiek, który by chciał z powrotem odebrać nam naszą niepodległość. Gdyby rządy Ameryki zrozumiały... Wie pani, że pokój pozostanie zawsze moim naczelnym zadaniem... Codziennie czuję na dzieje milionów, milionów ludzi całego świata... Niech pani napisze, że nie wolno nam zawieść ich nadziei".

Jan Pogorski.

Marcin Witold ŁYSKANOWSKI

Lekarz w społeczeństwie

Praca lekarza jest zawodem, który wyłania pełnię wartości człowieka.

P. Valery

ETYKA jest czynnikiem, bodźcem, probierzem godności i honoru lekarza. Lekarz świadomie stosuje środki lecznicze w przypadkach chorobowych. Wskazuje mu to nauka i doświadczenie. Lecz jeśli zastosowany lek przyniesie szkodę — przed lekarzem staje odpowiedzialność. Odpowiedzialność podwójna — przed sobą samym i zewnętrzna, prawna. Czy oba czynniki są jednakowo mocne w odczuciu, zależy od lekarza, od człowieka, od stopnia zrozumienia popełnionego błędu. Jeśli chęć pomocy — ten wielki nakaz wewnętrzny — jest treścią pracy lekarza, wówczas stokroć ważniejszą jest odpowiedzialność wewnętrzna, odpowiedzialność wobec własnego sumienia.

Etyka lekarza jest probierzem — jak wydawałoby się i jak tego chcą niektórzy — trudno uchwytnym. Bowiem co lekarz uważa za moralne i co się uważa w lekarzu za moralne — to zagadnienie dość „zmienne". Lekarz w czasie okupacji wydawał zdolnym zaświadczenia o niezdolności do pracy, zdrowym — zaświadczenia chorobowe... Klasyfikacja czynów — trudna; wszak niewątpliwie były słuszne.

Nie chcemy poruszać zagadnień etyki ogólnej. Chodzi nam o pewien rys postępowania lekarza wobec ludzi, postępowania, które określamy mianem moralne lub niemoralne. Uważamy, że postępowanie lekarza jest określone przez dwie normy, podporządkowane najwyższym, niezmierzonym ideałom. Pierwsza niezmienna, stała, do której należy zagadnienie eutanazji, przerywania ciąży — o których każdy moralnie postępujący lekarz wie, że czynić ich nie może; druga — codzienne, etyczne postępowanie lekarza, zależne od warunków zewnętrznych, od „podłoża" aktualnego, lecz wynikającego z głębokiego zrozumienia swego społecznego powołania.

Pytamy: czy wolno lekarzom bez uzasadnienia ingerować w sprawy urodzeń? Wiemy, że nie. Lecz jednocześnie zdajemy sobie sprawę jak bardzo zakaz ten był i jest niejednokrotnie omijany.

ZARÓWNO w Polsce jak i za granicą lekarze tej miary co Czyżewicz, Schockoert, Clement, Pestalozza, Niedemeyer, niejednokrotnie wypowiadali się przeciw przerywaniu ciąży. Prof. Czyżewicz cytując cyfry poparte dowodami klinicznymi, niejednokrotnie nawoływał do ukrócenia zbrodniczego procederu. Lecz sprawa wciąż nie jest wyczerpana, smutne zagadnienie nie rozwiązane. Dr A. Henke pisze w „Służbie Zdrowia", nr 7-8/47 o artykule dra Kosińskiego na temat „Sprawy przerywania ciąży późnej", że czytając artykuł, w którym podkreślono „...wartość nowoczesnego zabiegu, odznaczającego się prostotą techniki, zupełną niezawodnością, asentyką, brakiem powikłań..." odnosi się wrażenie, że jest to propaganda na rzecz biologicznego zniszczenia narodu"...

Spośród problemów etycznych nurtujących nie od dziś lekarzy całego świata wyróżnia się wagą i złożonością problem eutanazji. Zagadnienie, któremu poświęcono wiele uwagi, wiele rozpraw i dyskusji, a które wciąż pozostaje problemem. Zwróćmy tutaj uwagę na najistotniejsze momenty — psychiki lekarza, bowiem one często są przyczyną wahań uczciwego lekarza.

Lekarz który widzi i rozumie beznadziejność życia chorego, którego życie z punktu widzenia lekarskiego jest kwestią kilku dni lub godzin — niejednokrotnie pragnie pomóc, pragnie ulżyć nieszczęśliwemu sprowadzając łagodną śmierć: wszak założeniem pracy lekarza jest niesienie pomocy i ulgi... Czy myśli i pragnie słusznie?

Szumowski w swej „Filozofii Medycyny" (Kraków 1948), pisze o chorej żonie nauczyciela, którą dotknęła gruźlica rozpadowa obu płuc, krtani i jelit. Cytuje: „stan beznadziejny. Życia zostało na tydzień, najwyżej parę tygodni. O żadnym leczeniu nie ma mowy, gdyż chora prawie nie przyjmuje pokarmów". Szumowski wyraża następnie swój pogląd: „...Otóż w podobnym wypadku lekarz powinien zapytać się swego sumienia, a następnie wezwać na naradę drugiego lekarza, aby ex consilio przepisać — co trzeba. Przedłużenie życia takiej chorej było by tylko powiększeniem tragedii męża i dzieci". I nie możemy — cytując zdania z „Filozofii Medycyny" — nie zapytać: gdzie jest humanitarność i ludzkość lekarza, o której pisze autor w tej samej książce? Stanowisko etyki katolickiej tak w wypadku ingerowania bez uzasadnienia w sprawy urodzeń jak i wypadku eutanazji mówi stanowczo — nie! Lekarz jako człowiek nie posiada władzy nad życiem, zresztą nie to jest istotą jego funkcji. Lekarzom nigdy nie wolno wątpić, tracić wiary w uzdrowienie, przywrócenie zdrowia nawet wtedy, gdy uważa się je za utracone.

STWIERDZILIŚMY na wstępie, że istnieje norma codziennego, etycznego postępowania lekarza, podporządkowana najwyższym ideałom i zależna od zewnętrznych uwarunkowań. Stwierdzamy, że założeniem zawodu lekarza jest niesienie pomocy w imię zaszczytnego hasła miłości bliźniego i współczucie cierpieniu. Lecz pojęcie miłości bliźniego jest względne, zależy od warunków socjologicznych, zależy od czasu. Inaczej ujmowało zagadnienie miłości bliźniego średniowiecze, inaczej ujmuje je współczesność. Inaczej ujmuje je błędny, kapitalistyczny porządek świata, inaczej świat budującego się socjalizmu. Etyka nie opiera się w obu wypadkach na jednakowych przesłankach. Wszak postulaty eutanazji są prostą realizacją programu zapoczątkowanego w USA na przełomie XIX — XX w — w myśl którego poszczególne stany domagały się jej stosowania. Błędny ustrój wyprowadzał błędne pojęcie człowieka, zasłaniał istotę wartości człowieczeństwa, ideału współczesnej medycyny społecznej. Dzisiejsza medycyna „istnieje" w dobie tworzenia nowego społeczeństwa. Jest włączona w nurt, które je tworzy. Dziś nie możemy zgodzić się ze stanowiskiem Nusbauma, wyrażonym w „Zarysie etyki lekarskiej". Cytuję: „Może lekarz być w ogóle nie czynnym na polu polityki w ogóle i polityki społecznej...". Dziś nie wystarcza li tylko dobre (we własnym pojęciu) wykonywanie obowiązków zawodowych, bowiem celem przemian jest człowiek. Służba zdrowia została podniesiona do zaszczytnej funkcji społecznej, a zawód lekarza został głęboko związany z życiem człowieka, z życiem społeczeństwa i jego problemami.

PORUSZONE zagadnienia wymagają każde z osobna szerszego omówienia. Artykuł ich nie wyczerpuje. Nie wyczerpaliśmy zagadnienia miłości bliźniego i współczucia tak ważnych w postępowaniu lekarza! „Jedna z najpiękniejszych zalet człowieka — pisał w r. 1876 H. Łuczkiewicz — współczucie dla cierpienia — owa perła cnót, jak ją nazwał mędrzec indyjski — ma najobszerniejsze zastosowanie w praktycznym życiu lekarza". Współczucie dla cierpienia, miłość bliźniego, tajemnica lekarska, powołanie lekarza, jego stosunek do społeczeństwa — to problemy wymagające osobnego, szerokiego ujęcia. „Szkicowość" artykułu jest umyślna. Chodziło nam bowiem o pewien rys ogólny, o próbę uchwycenia zagadnień etyki lekarza w dobie przemian. Społeczeństwo nie zawsze dostrzega trudności problemu, a waga zagadnienia nie zezwala na milczenie.

M. W. Łyskanowski

Trudności tłumacza

(Dokończenie ze str. 7)

monia, jaka istniała między utworem a jego twórcą. Oczywiście są to wymagania idealne, teoretyczne. Praktyka pracy współczesnego tłumacza, za którego doboru dokonuje instytucja wydawnicza, nie zawsze liczy się z tymi wymaganiami. Efektem tej sytuacji są częste przekłady typu rzemieślniczego, pozbawione większej artystycznej wartości.

Ważną kwestią jest dobór odpowiednika formalnego w tłumaczeniu. Zanalizował go prof. W. Kubacki. Tłumaczka „Don Carlosa" miała wątpliwości, czy czyni dobrze, zamieniając biały wiersz Schillera na rym asonansowy. Zdaniem prof. Kubackiego absolutna wierność formy obowiązuje tam tylko, gdzie chodzi o utwór charakterystyczny dla epoki bądź dla autora, jeśli posługiwał się jedynie tą formą. W omawianym przypadku odstępstwo jest niewielkie. Schiller stosował nie tylko wiersz biały, lecz i rymowany. W doborze odpowiednika formalnego tłumaczka skorzystała zatem z formy schillerowskiej, choć nie z formy „Don Carlosa". Tego rodzaju zamiana wydaje się w pełni dozwolona. Niedopuszczalny był natomiast przekład „Pana Tadeusza" na francuski prozą, dokonany przez Pawła Cazin. Arcydzieło odarto ze wszystkich uroków. Pozostała naga fabuła.

Ożywioną wymianę zdań wywołała kwestia doboru odpowiedniego języka, na marginesie uwagi prelegentki, że ostateczne tłumaczenie „Abla na puszczy" winno być dokonane w gwarze podhalańskiej, jako jedynym możliwym odpowiedniku polskim dla dialektu sekleirskiego. A. J. Kamiński wychodzi z założenia, iż w polskich warunkach jest to dialekt zbyt lokalny, by korzystać z niego w przyswojeniu obcych pozycji literackich. W przekładzie najlepiej jest stosować język literacki, co najwyżej podmalowany gwarą. Gwarą, podobnie jak pełna archaizacja, pociągają zazwyczaj za sobą więcej niebezpieczeństw w tłumaczeniu, niż przynoszą korzyści artystycznych. Pozostali dyskutanci przychylili się jednak do poglądu prelegentki, uważając, że rzucony przykładowo w dyskusji wyraz „gazda", byłby na miejscu nawet w góralskim utworze chińskim, pod warunkiem, że język chiński posiada lokalne nazwy dla gospodarza czy dla pastucha (juhas). Gdyby ich brakowało, pozostają istotnie jedynie terminy języka ogólnoliterackiego danego narodu.

Odpowiedni język postaci w przypadku „Egmonta", który przysporzył tłumaczce dużo kłopotu, winien, zdaniem prof. Kubackiego, opierać się o analizę roli tego utworu na tle całokształtu twórczości Goethego. Egmont, który drażni tłumaczkę, nie jest w zasadzie postacią historyczną, ale autoportretem autora w pierwszym okresie twórczości (wg wypowiedzi w „Dichtung u. Wahrheit"). Dramat jest utworem rewolucyjno-postępowego nurtu burżuazji, jaki w owym okresie reprezentował poeta. Przesądziło to rysunek bohaterów. Klara jest mieszczanką. Wrażenie przebranego mieszczanina sprawia sam Egmont. Najlepiej zatem dla ich słów skorzystać z języka kochanków współczesnej tragedii mieszczańskiej.

Krótkie sprawozdanie nie pozwala na przytoczenie wszystkich problemów przekładu, jakie wyłonił referat i dyskusja. Trzeba się jedynie ograniczyć do ich wyliczenia. Dyskutowano zatem nad sprawą znajomości realii w pracy tłumacza, nad korzystaniem z encyklopedii i t. p. pomocy, nad „piekłem tłumacza" — sprawą przekładu cytat, aluzji literackich, politycznych, powiązanych z grą słów, przysłowiami itp. Przy okazji analizy kwestii patronimików w jęz. rosyjskim poruszone zostały również specyficzne trudności języka bułgarskiego, jak naleciałości tureckie w gramatyce itp.

Kłopoty tłumacza nieraz jeszcze powrócą na szpalty pism. Zatem nieraz jeszcze teoretycy i tłumacze-praktycy będą mieli możność skorzystania z dorobku sekcji twórczych ZLP w zakresie tłumaczenia.

Rozważania tłumaczy zakończyć należy wnioskiem, wyciągniętym zgodnie z pokłosia poznańskiej dyskusji. Trudno cośkolwiek generalizować na niwie przekładu. Wytyczne i wskazówki w żadnym wypadku nie mają charakteru absolutnego. Każde tłumaczenie wymaga nowego przetrawienia całej problematyki przedmiotu pod kątem konkretnego utworu literackiego.

Leszek Prorok

CUDA I POLITYKA

Niedawno „Nowa Kultura" wypowiedziała swój protest przeciw atmosferze, jaką wytworzono na Zachodzie wokół oświadczenia kardynała Tedeschini o cudownych widzeniach Ojca Świętego. „Nowa Kultura" dopatruje się w całym tym problemie tylko akcji politycznej nastawionej na nadużycie łatwowierności katolików zachodnioeuropejskich.

Katolicy, rzecz prosta, muszą postawione zarzuty odsunąć od Kościoła Katolickiego, którego hierarchia w żaden sposób nie zaangażowała się w akcję polityczną prowadzoną wokół tej sprawy. Katolicy wierzą, zgodnie z nauką Kościoła, w możliwość cudownych objawień. Tym niemniej fakt pozostaje faktem, że rewelacja kardynała Tedeschini, której celowość wzbudziła zresztą poważne zastrzeżenie wśród wielu katolików, została wykorzystana przez sensacyjną, polityczną prasę kapitalistyczną jako argument w jej anty-komunistycznej kampanii. Pozostaje także faktem, że część katolickiej opinii publicznej solidaryzowała się z tymi próbami nadużycia swej religii, wykazując tym samym jak powierzchownie, utylitarnie i błędnie rozumieją istotę katolicyzmu.

Pragniemy stwierdzić, że te próby posłużenia się autorytetem Kościoła i problematyką religijną — spotkały się ze strony wielu autorytatywnych ośrodków z jak najostrzejszym potępieniem. Głos Prymasa Francji, podkreślona nawet przez francuskie pisma komunistyczne, wstrzemięźliwość komentarza katolickiego (choć prawicowego) dziennika „La Croix", mocny komentarz Yves Congar w „Témoignage Chrétien", zaopatrzony w obszerny fragment wypowiedzi rzymskiego teologa Monsignora Ottaviani — oto dowody postawy katolików w tej sprawie. Podajemy poniżej redakcyjną wypowiedź katolickiego dwutygodnika „La Quinzaine" spadkobiercy tradycji Charles Péguy — omawiającą cały problem postawiony jednostronnie, a przeto dla postępowej części świata katolickiego krzywdząco, przez „Nową Kulturę". Niech ten postępowy i głęboki głos katolików francuskich zostanie przyjęty jako nasze sprostowanie.

Redakcja

Czy rzeczywiście żyjemy dziś w XX wieku, w świecie, w którym panują ścisłe obliczenia triumfującej techniki i postępy rządzącej naturą i jej najbardziej tajemniczemi siłami nauki?

Czy może błądzimy jeszcze w mrokach XIV w. średniowiecza, kiedy to wojny, klęski, zbiorowe nieszczęścia i fale niepokojów zarówno duchowych jak cielesnych wywoływały wprawdzie epidemie „mistycznych" fenomenów i wizji, praktyk magicznych, odwoływania się do cudów i czarnej magii?

Zaledwie przed kilku miesiącami Kościół Rzymski surowo potępił, przez usta jednego ze swych oficjalnych teologów, „ślepe uznawanie cudownych faktów, wizji, przepowiedni i zjaw oraz obserwowane ostatnio natężenie powszechnego przejmowania się domniemanymi cudami wraz z całym tym nastrojem podniecenia, które powoduje wypaczanie religii jak i wiele innych zboczeń historii ludzkiej."

Jakże można było nie wrócić myślą do tego ostrzeżenia, kiedy w ubiegłym tygodniu patrzyliśmy na pojawiające się w prasie pod wielkimi, 20 cm liczącymi tytułami, sensacyjne rewelacje dotyczące mistycznych fenomenów, których objektem był Papież Pius XII!

Arcybiskup Lyon'u (Prymas Francji) sprowadził natychmiast znaczenie iluzji robionych przez kardynała Tedeschini w czasie jego wycieczki do Fatimy, do granic rozsądku. Aluzje te oparte były tylko na poufnych zwierzeniach Papieża, dotyczących fenomenu, który nie zawierał zresztą ani wizji ani objawienia a oparty był na osobistym uczestnictwie Papieża w tajemnicach Bożych.

Oczywiście ponowne protestowanie przeciwko merkantylnej eksploatacji instynktów ludzkich, obojętne dobrych czy złych, przez dzienniki i pisma będzie prawdopodobnie zupełnie bezskuteczne. Tym niemniej jest to dobry moment, aby temu wykrzywianiu prawd i wartości religijnych przeciwstawić surową trzeźwość teologii chrześcijańskiej. W poszumie tych wszystkich głupstw odezwał się już głos „przypominający", że żaden chrześcijanin nie jest nawet obowiązany wierzyć w objawienia w Lourdes czy Fatimie i że w każdym razie uznawanie tych cudów nie jest w żadnym stopniu tak istotne jak wyznawanie wiary.

Więcej jeszcze, niż to chorobliwe zamiłowanie do cudowności niezgodnej z prawdziwym duchem religii, razi nas wyzyskiwanie go w dziedzinie politycznej. A niestety jest to zjawisko, na które napotykamy się w każdych czasach!

Tym razem jednak nonsens przekroczył w prasie sensacyjnej wszelkie granice. Ta prasa bowiem dojrzała w tym osobistym wyznaniu jakiś ważki element politycznej gry Kościoła a ponieważ skutki jego są „nieprzewidzialne" będą więc oczywiście „sensacyjne". Może będzie to walka o pokój, może wyprawa przeciw Rosji, unia z protestantami do walki z materializmem, czy jakiś „zakręt" historii. „Humanité" zaprotestowało przeciw temu wygrywaniu religii dla celów politycznych, wskazując na wstrzemięźliwość komentarzy „La Croix". Doprawdy byłoby już bardzo źle zarówno dla kierownictwa Kościoła jak i dla wiary chrześcijańskiej, gdyby zaczęto polegać na osobistych objawieniach.

Najgorszym złem, jakie cała ta sprawa narobiła, to fakt, że fantastyczny ów szum odwrócił uwagę ludzi od prawdziwych bolączek świata, bolączek zarówno ciała jak i duszy. Spowodowała ona ucieczkę w krainę fałszywego mistycyzmu, który czyni z wiary zboczenie umysłowe. Nigdy chrześcijanie nie będą mogli dość silnie piętnować tych zboczeń, które niestety, jak się oczywiście można tego spodziewać, służą zawsze interesom jakichś polityków. Dla chrześcijanina pierwszym warunkiem dla sprawiedliwego wyroku jak i płynącym z nakazu miłości bliźniego obowiązkiem jest jak najdokładniejsza i najostrzejsza analiza faktów. I tu właśnie leży najlepszy dowód zdrowia moralnego Ewangelii.

Niedawno, w czasie trwania kongresu katolickiego, na Uniwersytecie w Mediolanie, prof. Romani z ostrą ironią wytykał stanowisko tych Włochów, którzy rozwiązanie wszystkich tragicznych problemów bezrobocia i kapitalizmu oczekują wyłącznie od kilku wielkich świętych, którzy czuwają w niebie i chronią Włochy.

Właśnie dlatego, że czcimy Ojca Świętego i szanujemy wyżyny jego ducha, wierni wierze chrześcijańskiej i prawdzie ludzkiej nie poddamy się tym niezdrowym rozrywkom, szkodliwym zarówno dla wychowywania narodów jak i zachowania społeczeństw.

Nagroda literacka miasta Katowic

31 października Katowice przyznały swoją doroczną nagrodę w zakresie literatury osiedlonemu na Śląsku Józefowi Poganowi. Pogan wywodzi się z t. zw. kręgu pisarzy wiejskich, którzy zaczęli zdobywać ostrogi literackie po Wyzwoleniu, to znaczy w warunkach pełnych możliwości twórczych i dla tych, którzy przed wojną należeli do klasy analfabetów kulturalnych. Jak trudna, pełna dramatycznych walk i upartych prób była droga tego utalentowanego chłopa podkrakowskiego do kultury świadczą jego książki, w których odmalowuje z wyjątkowym realizmem życie wsi polskiej w jej klasowych, tragicznych wymiarach. Twórczość Pogana jest więc typu dokumentarycznego, wspomnieniowego. Laureat śląski ogłosił do tej pory drukiem: „Dekret niebieski" (1946), „Ugory" (1947), „Cierpliwość" (1948), „Na głuchym zagonie" (1950).

W druku znajduje się „Zbiór życiorysów górników-chłopów"; prócz tego niedawno ukończona powieść p. t. „Przed urodzajem". Jakże wymowna jest ta nagroda: stolica przemysłowego Śląska czci w swym laureacie zwycięski trud człowieka, który z nizin chłopskiej nędzy w sprzyjających warunkach ludowej demokracji osiągnął nieprzeciętny awans kulturalny.

NOTKI KULTURALNE

W Tısmicjach (Czechosłowacja) odbudowuje się romańską bazylikę Panny Maryi. Bazylika ta pochodzi z drugej połowy XII wieku. Prace rozpoczęto już w 1950 r. a w roku bieżącym przystąpiono do odnowienia wnętrza

*

W Budzinie (Węgry) wkrótce zostanie oddana do użytku stara franciszkańska świątynia zniszczona podczas walk o Budapeszt. Odbudowę jej rozpoczęto w 1946 z ofiar wiernych, wykończono przy pomocy funduszów państwowych.

*

W Rumunii w r. 1938 było 23.000 studentów na wyższych uczelniach, w r. 1951 — jest już 55.000. Ogółem szkolnictwo wyższe Rumunii posiada 61 różnych wydziałów.

*

W Bukareszcie rozpoczęto budowę nowego teatru. Teatr będzie miał scenę obrotową 25 m X 15 m, będzie również zaopatrzony w najnowocześniejsze urządzenie oświetleniowe i wentylacyjne.

*

4 marca mija 100 lat od śmierci wielkiego pisarza rosyjskiego Mikołaja Gogola. W związku z tym w Moskwie powołano specjalną komisję organizacji uroczystości rocznicowych na terenie Związku Radzieckiego.

*

W listopadzie rb. zmarł belgijski pisarz i krytyk literacki Louis Piérard

*

We Francji przyznano ostatnio szereg nagród literackich. Nagrodę za najlepszą pracę literacką o sporcie otrzymał Georges Magnane za utwór pt. „La Treve olimpique". Nagrodę Jean Prévoit otrzymał Georges Linatre za pracę „La Jeune Fille et la cendre". Nagrodę Lotnictwa uzyskał Henry Podenot za powieść pt. „Le Point de Chute".

*

W Moskwie robione są przygotowania do uczczenia w nadchodzącym okresie zimowym 125-tej rocznicy śmierci wielkiego kompozytora Beethovena.

W programie imprez przewidziane są liczne koncerty poświęcone jego twórczości muzycznej.

*

Port-Artur i Dairen są pierwszymi miastami chińskimi, w których całkowicie zlikwidowano analfabetyzm.

*

Około 1 100 000 chłopów uczęszcza w bieżącym roku do wieczorowych szkół dla dorosłych w Chinach południowo-wschodnich.

*

W Bułgarii w r. 1951 nauczyło się czytać i pisać ponad 75.000 ludzi, od 1-go października r. b. na kursy dla analfabetów uczęszcza ponad 160.000 osób. Do końca 1953 r. analfabetyzm ma być w Bułgarii zlikwidowany.

*

W Pekinie ukazał się I-szy tom Dzieł Wybranych Mao Tse Tunga. We Wschodnich Chinach w 170 księgarniach cały zapas I tomu tych dzieł w ilości 240 tysięcy egzemplarzy, rozsprzedano w ciągu kilku zaledwie godzin.

*

W Moskwie ukazał się siódmy tom Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej (II wydanie). W tomie tym znajdują się między innymi materiały poświęcone Rewolucji Październikowej.

*

„Komuna Paryska", poemat Wł. Broniewskiego ukazał się w języku czeskim w przekładzie Jana Pilarza

*

Wydawnictwo „Aufabau" wydało Antologię Nowej Niemieckiej Liryki. Do antologii weszło 19 utworów napisanych przez poetów N.R.D.

O literaturze katolickiej raz jeszcze

(*Dokończenie ze str. 3*)

nawiści na tle ideowym, narodowym czy rasowym — to również nie napotykało na skuteczny sprzeciw. Pisano więc i drukowano powieści historyczne, w których nierzadko wojna sławiona była jako żywioł wyrabiający cnoty w człowieku, a rozstrzeliwanie przeciwników jako czyn chrześcijański i jedyny sposób zaprowadzenia sprawiedliwości. Cała ta działalność pisarska i wydawnicza nic nie miała wspólnego z literaturą, ani katolicyzmem, natomiast bardzo wiele z panujących podówczas ustrojem, który umacniać było jej zadaniem. Na tym mało pociągającym tle zabłysło silniej, choćby prawem kontrastu, kilka pozycji, dzięki którym możemy powiedzieć, że w okresie dwudziestolecia istniała w ogóle literatura katolicka. Ale i to przeważnie były utwory o tematyce historycznej. Na głos protestu przeciw panującym warunkom, na oddanie pióra w integralną służbę sprawiedliwości społecznej nie zdobył się niestety nikt z pisarzy-katolików.

Jeżeli przypominam dziś pokrótce te niewesołe sprawy, a należałoby je omówić obszerniej, to nie gwoli oskarżeniom celowanym w przeszłość. Pamięć o nich nasunęła mi właśnie obecna dyskusja o literaturze katolickiej i właśnie owe dygresje, przeobrażone w główny temat, a dotyczące twórczości zagranicznej. Przy tej okazji bowiem wiele razy ujawniało się jak dalece **niektórzy dyskutanci** tkwią jeszcze w gąszczu dawnych kryteriów. Groźnym sygnałem była tu przed dwoma laty dyskusja, o ile można tak określić niektóre wypowiedzi wołające o grom Boży, a nieprzebierające w wyrazeniach, w związku z drukowaniem przez „Słowo Powszechne" powieści Van der Meerscha „Piętno Boże". Protestowano wówczas przeciw szerzonej w ten sposób demoralizacji, zachłystywano się od oburzenia i soczystych epitetów. Żądano przerwania druku. Oczywiście byli ludzie, którzy książkę rozumieli i którym ona wiele nawet dała. Była ich wprawdzie większość — symptomatyczne wydają się jednak głosy zgorszonych.

O CO właściwie chodziło? Bohater powieści, człowiek żonaty, w pewnym momencie opuszcza żonę i żyje ze swą wychowanicą. Wprawdzie w życiu to się podobno zdarza, jako że ludzie grzeszni są i ułomni, ale zdaniem poniektórych znawców i speców od literatury katolickiej w powieściach pisać o tym nie należy. Van der Meersch jednak nie oddał się w służbę mieszczańskim błogostanom, pisał prawdę i tylko prawdę oczywistą — tak jak ją subiektywnie odczuwał i mógł za Bernanosem powtórzyć dewizę „J'ai juré de vous emouvoir d'amitiè ou de colére, quimporte". Czy powodem zgorszenia był rzeczywiście tylko fakt zarysowania w utworze trójkąta małżeńskiego? Obawiam się, że nie. Obawiam się, gdyż diagnozy takie są dość przykre. Kiedy rozpętano przeciw Van der Meerschowi oszczerczą kampanię w związku z jego książką „La petite Sante Therese", kiedy nie przebierano w środkach, by go zniesławić — atakowano nie tylko człowieka, który ośmielił się wejść na teren hagiografii i ukazać prawdziwe ludzkie oblicze świętej. Nie szkalowano go tylko za to, że był przyjacielem robotników, że opisywał ich życie takim, jakie było naprawdę, za opis fabryki w „Le coeur pure", za pokazanie Paryża głodującego i prześladowanego proletariatu w „Le peché du monde", za skierowanie reflektora w pięknie umeblowane wnętrza mieszczańskich domów i za oświelenie przeżartych żądzą zysku i nienawiścią dusz ich mieszkańców w „Corps et Ames". W swej „Invasion 14" odmalował Van der Meersch świat przemysłowców Nordu i nie znalazł wśród nich ani jednego sprawiedliwego. Bo nawet Decramer, który w więzieniu nawraca się, żyje na pozór pełnią wiary, popada w stany mistyczne i ślubuje służyć miłosierdziu, wróciwszy do swego gabinetu obraca wszystkie siły na powiększanie zysków. A przecież Van der Meersch nie tylko nie był rewolucjonistą, ale nie widział żadnego wyjścia z sytuacji, dostrzegał i piętnował zło kapitalizmu nie znajdując przeciw niemu żadnych środków. Ludzie — według niejasnych przekonań pewnych kół — dzielą się na dobrych i złych.

Powieść pokazuje dobrych w pełnym świetle, tuż przy rampie, źli kryją się za kulisami, wychodzą spoza nich dla popełnienia zbrodniczych czynów, zaś pod koniec dla poniesienia kary. Dobrzy mają przeżycia wewnętrzne, źli obmyślają tylko podłości. Człowiek zły i dobry rodzi się już z etykietą i z nią umiera, czasem tylko dla celów dydaktycznych dzieje się inaczej. Zastanawiające dlaczego jedni i drudzy mają automatycznie wyznaczoną sobie klasę społeczną i stan posiadania, dlaczego nędzarz jest „dobry" tylko wtedy, gdy staje się wiernym lokajem.

Można wyobrazić sobie, w jaki szał wpadliby nasi domorośli krytycy, gdyby poznali inne powieści Greene'a, nie „Sedno sprawy", które i tak uznane zostało przez nich za „niekatolickie", ale „Brighton Rock", przeraźliwy obraz londyńskich dzielnic nędzy, z bohaterem, owym „pinky", który zamiast imienia własnego oznaczony jest synonimem swej łobuzerskiej profesji, a przecież i on ma jeszcze w sobie strzęp moralności, którą wydziera mu system stworzony przez sytych ludzi, którzy od kolebki skazali go na łobuzerską i haniebną śmierć. I on, kiedy przychodzi chwila, szuka Boga i tęskni za czystością duszy, którą odebrano mu w najwcześniejszym dzieciństwie. A ksiądz w „Power and Glory", pijak i ojciec nieślubnego dziecka? To wystarczyłoby dla zdyskwalifikowania książki: dramat słabnącego człowieka, kapłana, który do ostatka wypełnia swój obowiązek, przezwyciężając strach i ciężar własnych grzechów, tajemnicze drogi Łaski — wszystko to nie zachwiałoby opinii o niemoralności utworu.

Po cóż jednak bawić się w przewidywania, uzupełniać diagnozę przypuszczeniami. Dość jest faktów. Przyszłość literatury katolickiej w Polsce zagrożona jest przez fakt, że spora część ludzi, którzy w jakiś sposób o przyszłości tej decydują czy jako przypuszczalni twórcy, czy jako krytycy, czy konsumenci znajduje się ciągle na pozycjach mieszczańskich. Tu trzeba wołać nie tylko „Mehr Licht", lecz przede wszystkim „Mehr Luft"!

NALEŻY szanować dorobek katolickich pisarzy Zachodu, należy się z nim zapoznać i w miarę czerpać z niego, nie wolno jednak zapominać, że ludzie ci żyją i tworzą w warunkach ustroju kapitalistycznego, że często pod presją lub dobrowolnie kapitulują przed nim, schodzą na manowce. Nasza codzienna praktyka, obserwacja życia dostarcza nam więcej prawdziwych wniosków niż ich żmudnie, w zamkniętych pracowniach tworzone teorie. Przegoniliśmy ich dawno, właśnie my polscy katolicy, tylko nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę, tylko nasi pisarze **nie potrafią tchnąć w swą** twórczość ducha przemian, które dokonały się i dokonują wokół nich i chyba w nich samych. Niezrozumiały pozornie fakt, że ludzie swą codzienną pracą publicystyczną, dziennikarską, odczytową wykazują pełne zrozumienie problemów współczesności i realizują je dla dobra Państwa i Kościoła, przyczyniają się do rozwoju moralnej i materialnej siły narodu, w dziedzinie własnej twórczości pur sang literackiej nie umieją zachować tej samej postawy — otóż fakt ten wyjaśnia się prosto.

Zagadnienia literatury katolickiej w Polsce zostały i są poza pewnymi wyjątkami, nadal, wyobcowane niejako z terenu, na którym mogą być i muszą być rozważone i rozstrzygnięte. A rozstrzygnięciem tym będą nie takie czy inne najprecyzyjniejsze i najbardziej słuszne sformułowania teoretyczne, ale dzieła, które zobrazują, zanalizują niełatwą drogę w jej historycznym rozwoju. A jednocześnie powieści takie, powieści współczesne muszą zachować charakter, że tak to nazwę, „apologie romancèe", to stanowić będzie o ich katolicyzmie — owo „drugie dno", śledzenie dróg Łaski, dróg wiodących ku Bogu, katolickie spojrzenie na rzeczywistość.

Spełnienie tego zadania wymaga od pisarza olbrzymiej pracy intelektualnej, podbudowy filozoficznej i teologicznej, studiów społecznych, historycznych i gospodarczych. Tu trzeba nie tylko wiele zrobić, ale przede wszystkim nadrobić zaniebania. Literatura katolicka w Polsce musi wyjść z kręgu akademickich dyskusji, musi odnieść się krytycznie do zagranicznych wzorców, które pogłębiają w niej mieszczańskie obciążenia. Istotne jest dla nas to, co dzieje się w Polsce, to nas zobowiązuje. Czeka na pisarza człowiek — ten sam człowiek, który będzie bohaterem jego powieści, a jednocześnie czytelnikiem. Człowiek, którego pisarz będzie umacniać, wychowywać, któremu będzie służyć.

J. A. Górski

Z życia sekcji ZLP w Katowicach

Pod przewodnictwem Wojciecha Natansona niedawno w Katowicach obradowały połączone sekcje poezji i prozy. Wzięto na warsztat ostatni numer „Życia literackiego".

Były to interesujące obrady, bowiem kolegialnie redagowane czasopismo literackie (pismo jak wiadomo jest wydawnictwem oddziału Z.L.P. Kraków i oddziału Z.L.P. Katowice) nastręczało wiele zupełnie nowych zagadnień, zwłaszcza w sferze kolektywów twórczych. W dyskusji, w której zabierali głos literaci krakowscy, należący do zespołu redakcyjnego krakowskiego i literaci śląscy (Otwinowski, Vogler, Hierowski, Szewczyk, Natanson, Wydrzyński, Klimas-Błahutowa, Pogan, Baumgardten, Kozłowski, Brzoza i inni) wytypowano do szczegółowszego rozpracowania takie kwestie jak: organizacja zamówień materiałów literackich, planowanie redakcyjne, niedomogi kontaktów zespołu redakcyjnego śląskiego z zespołem krakowskim, problemy tematycznych rozróżnień i podobieństw w obu środowiskach. Wysuwano wielokrotnie w dyskusji sprawę jakości prac literackich: wiele pod tym względem pozostawiała do życzenia działy poezji i reportażu. Toteż postanowiono na najbliższej sekcji poezji przeanalizować dotychczasowe pozycje poetyckie w „Życiu literackim", a na sekcji prozy przepracować problem tzw. reportażu literackiego w odróżnieniu od reportażu dziennikarskiego.

Ze strony redakcji śląskiej zaprojektowano utworzenie tzw. sieci korespondentów kulturalnych w terenie: nowe żywo dziś pulsujące środowiska kulturalne Gliwic, Cieszyńskiego, Zagłębia Dąbrowskiego, winny być uwzględniane nie tylko w przypadkowej kronice, ale także w problematyce specyficznej dla tych terenów.

Redakcja zakomunikowała, że z dniem 1 I 1952 „Życie literackie" będzie wychodziło jako tygodnik.

Zbyszko Bednorz

Ludzie «źle myślący»

(*Dokończenie ze str. 5*)

siejszym nie można głosić ideologii „promocji" społecznej i politycznej proletariatu oraz ludów kolonialnych, nie angażując się jednocześnie czynnie w walkę o realizację tych celow. Stosunek do politycznej działalności proletariatu nie może się wyrażać tylko deklaracjami słownymi. Wydaje się, że w tym punkcie postawa środowiska „Mal Pensants" jest mocno niekonsekwentna. Krytykując pozycje „Taboru" intelektualno-moralnego, jakie zajmował np. Mounier, Péguy czy Bernanos, nie można jednocześnie samym wchodzić na tę pozycję z innej strony. W przeciwnym razie — posłużymy się tu opinią własną „M. P." o wspomnianych przed chwilą myślicielach — „ponosi się intelektualnie i moralnie wszelkie ryzyko w słowach, ale faktycznie nie uczestniczy się w realnej bitwie, jak tylko w roli natychmiast zwyciężonych". To jest ów błąd niekonsekwencji, jaki chcieliśmy wytknąć zespołowi „Mal Pensants".

Istota tej niekonsekwencji wynika, naszym zdaniem, z balastu obciążeń inteligenckich — jakie ciągnie za sobą ten zespół, skądinąd wartościowych i uczciwych katolików. Stawia on sobie programowe zadanie przeorania w kierunku postępowym mentalności mieszczańskiej we Francji. Przy tym jednak sam ulega poważnie zasadniczym stanom tej samej mentalności.

Jest to jednak zespół młody. Być może, iż hartuje się w walce i pogłębiając swe właściwe założenia — dojdzie do konsekwentnych wytycznych ideologicznych.

Z braku dostatecznych materiałów trudno nam tu odpowiedzieć na pytanie, jaką efektywną siłą w łonie katolickiej opinii francuskiej dysponuje grupa „M. P." Nie można oddziaływania jej na społeczność katolicką przeceniać, to jasne. Niemniej wydaje się, że posiada ono dość znaczny rezonans w środowiskach młodokatolickich, a zwłaszcza studenckich. Świadczyć o tym zdaje się m. in. fakt, że w skład komitetu redakcyjnego „M. P." wchodzi Gerard de Bernis, do niedawna przewodniczący U.N.E.F (Unia Narodowa Studentów Francuskich) — usunięty ze swego stanowiska za postawienie postulatu współpracy tej organizacji z Międzynarodowym Związkiem Studentów

Ignacy Rutkiewicz

Piotr GRZEGORCZYK

U autora książki o Konarskim

PROF. Juliusz Nowak-Dłużewski, autor wydanej niedawno przez „PAX" monografii o Stanisławie Konarskim, należy do ludzi, których ambicją jest dążenie do maksimum solidarności naukowej i użyteczności własnych prac, w których sięga zawsze do źródeł rękopiśmiennych, wydobywa materiał nieznany lub przeoczony i rzuca nowe światło na ludzi i epoki, którymi się zajmuje. Dwie jego książki przedwojenne, w których pierwszy zajął się wyczerpująco satyrą polityczną Sejmu Czteroletniego, Konfederacji Targowickiej i Sejmu Grodzieńskiego, były poważnym wkładem naukowym, przynoszącym nowe spojrzenie na literaturę walki politycznej w XVIII wieku. Książka o Konarskim jest również nowym spojrzeniem na wielkiego człowieka swego wieku.

— Co pana skłoniło do zajęcia się postacią Konarskiego? — zapytujemy prof. Nowaka-Dłużewskiego.

— Od długiego czasu tkwiłem w wieku XVIII, musiałem więc w konsekwencji dojść do tej postaci, która właściwie rozpoczyna wiek Oświecenia. Bowiem nie król Stanisław August, jak się to mniema dotychczas, ani jego inicjatywa kulturalna inauguruje Oświecenie u nas, lecz znacznie wcześniej, właśnie Konarski.

— Na ostatnim zjeździe polonistów proponowano przyjęcie nowej periodyzacji dziejów literatury polskiej, nie zgodnie, jak widzę, z pańską koncepcją.

— Na przedkongresowym zjeździe polonistów oraz na sesji Oświecenia w Instytucie Badań Literackich przyjęto, jak panu wiadomo, cezurę Chrzanowskiego, tzn. datę 1762 roku. Sądzę jednak, że początek Oświecenia trzeba przesunąć w głąb epoki zwanej dziś epoką saską, mniej więcej około roku 1741, daty wydania książki Konarskiego „O poprawie wad wymowy".

— Czemu uważa pan tę łacińską broszurę Konarskiego za rzecz tak ważną?

— Bo to jest walna rozprawa z sarmackim barokiem literackim, a zarazem rozprawa z sarmackim stylem naszego życia kulturalnego i duchowego.

— Czy inne dzieła Konarskiego nie zaważyły bardziej?

— Śmiałe tendencje reformatorskie Konarskiego pojawiają się już w wielu jego wczesnych pismach. Nie zwrócono dawniej na to uwagi, że pierwszy u nas Konarski w zdecydowany sposób dał wyraz przejściu na naszym gruncie gospodarczym ze starej epoki feudalnej do nowej kapitalistycznej. Uczynił to w bardzo ciekawym traktacie „O uszczęśliwieniu własnej Ojczyzny". Oczywiście, tę nową epokę rozpoczyna nie tylko sam Konarski.

— Mam jednak wątpliwości, czy traktatom Konarskiego można przypisywać tak zdecydowany wpływ na zmiany w myśleniu ogółu społeczeństwa, chociażby tylko szlacheckiego?

— Nowe idee tkwiły już w atmosferze Oświecenia. Konarski nie był ich twórcą. Nadał im tylko sugestywną formę. Pierwszy uzasadnił konieczność reform, pokazał logikę nowych zjawisk, które powinny kształtować nasze życie. Stał się istotnie „ojcem demokracji polskiej".

— Więc uważa pan Konarskiego za pierwszego u nas człowieka epoki nowożytnej?

— Oczywiście! Po Modrzewskim to największy polityczny pisarz starej Polski, chociaż nie brakło Orzechowskich, Opalińskich, Kołłątajów. Wyprzedza Konarski Kołłątaja, równie jak on wszechstronnego.

— Widzę, że jest pan pod urokiem Konarskiego.

— Tak, bo to postać niezwykła, przejrzysta, klarowna, arcylogiczna sama w sobie i w działaniu. Człowiek się na nim nie zawiedzie. To typ racjonalisty, a jednak podbudowany emocjonalnie. Przygotował grunt dla nowego stylu w literaturze, który realizował potem Krasicki i jego szkoła. On pierwszy sformułował dawno odczuwaną potrzebę modernizacji naszego życia politycznego, wychowania typu nowego Polaka, co później realizowały reformy Czartoryskiego, czy Sejmu Czteroletniego, czy Komisji Edukacyjnej. Umysł wszechstronny, rzec można, renesansowy.

— Jeszcze ostatnia kwestia. Czy w życiu i działalności Konarskiego nauka wyświetliła już wszystko?

— Niestety, nie wszystko. Archiwa Watykańskie kryją jeszcze nieznaną korespondencję Konarskiego, mogącą w nowym świetle pokazać wiele szczegółów jego działalności. Oczywiście, Archiwa Watykańskie są dostępne, a sfotografowanie ich, to tylko kwestia czasu i odpowiednich środków. Książkę o Konarskim napisałem przed trzema laty.

— A nad czym pracuje pan obecnie?

— Przesuwam swoje zainteresowania na wiek XVI i XVII. Stoi to w związku z przygotowywaną edycją zupełnie zapomnianych autorów: Jana i Macieja Rybińskich. Oprócz tego przygotowałem do druku, będą wydobytą głównie z rękopisów i unikatów poezję polityczną czasów Jana Kazimierza. Tom pierwszy już oddany do druku, będzie w nim wiele materiału nieznanego dotąd historykom literatury. Jaskrawo wysuwają się w nie wierszowanej publicystyce motywy społeczne, głosy krzywdy i uciemiężenia w opresji szlacheckiej, ujawnia się nowy rozdział bogatej a lekceważonej i zapomnianej dotąd historii naszego piśmiennictwa i kultury.

Dziękujemy prof. Nowakowi-Dłużewskiemu za rozmowę, zapewniając go, że zajmie ona licznych czytelników jego pięknej książki o Konarskim.

Z Filharmonii Warszawskiej

VI Koncert Symfoniczny Filharmonii Warszawskiej był całkowicie poświęcony muzyce rosyjskiej. Na program złożyły się następujące utwory: Uwertura do opery „Rusłan i Ludmiła" — Michała Glinki (1804 — 1857) oraz koncert skrzypcowy D-dur op. 35 i V symfonia e-moll op. 64 Piotra Czajkowskiego (1840 — 1896).

Michał Glinka zyskał sobie początkowo sławę jako pianista i improwizator, wkrótce jednak stwierdzono, „że lepiej tworzy niż gra, chociaż i w grze jest artystą" — i rzeczywiście stopniowo cała jego energia twórcza zaczęła się obracać w kierunku kompozytorskim.

Opera „Rusłan i Ludmiła" powstała w latach 1836 - 1842 — była to druga z rzędu opera Glinki (pierwsza „Iwan Susanin"). Temat do niej wziął kompozytor z poematu Puszkina pod tym samym tytułem.

Treść opery „Rusłan i Ludmiła" oparta jest na tematach baśniowych, a muzyka na tematach ludowych. Była to pierwsza tego rodzaju praca, toteż wzbudziła burzliwe spory wśród współczesnych krytyków i wielbicieli muzyki.

Wykonana na koncercie Uwertura do tej opery należy do rodzaju uwertur dramatycznych, jest epickim wstępem i zapowiedzią całości.

Piotr Czajkowski, jeden z największych kompozytorów rosyjskich o światowej sławie, umiał połączyć zdobycze klasycznej muzyki zachodnio-europejskiej z narodową tematyką rosyjską. Twórczość jego jest bogata, tworzył on opery, muzykę symfoniczną i kameralną, koncerty instrumentalne, pieśni i miniatury.

Koncert skrzypcowy D-dur jest jednym z jego najwyższych osiągnięć inwencji kompozytorskiej. W koncercie tym wyczuwa się duży wpływ tematyki ludowej, co szczególnie uwydatnia się w trzeciej części koncertu, w jego melodyce i rytmice. Najpiękniejszą jego częścią jest część pierwsza, w której temat główny o marszowych akcentach kontrastuje z drugim pełnym wdzięku i liryzmu. Solowa partia skrzypiec i orkiestra stanowią tu doskonałą symfoniczną całość. Druga część jest lirycznym intermezzo w całości utworu, kontrastującym z częścią trzecią.

Solistą koncertu był młody i niezwykle utalentowany skrzypek radziecki Leonid Kogan, laureat I Festiwalu Muzycznego w Pradze oraz zdobywca w rb. I nagrody na Międzynarodowym Koncercie skrzypcowym im. Ysaye'a w Brukseli. Grę jego cechuje ogromna muzykalność, piękny, szlachetny ton i wirtuozowska technika oraz niebywała pasja świadcząca o głębokim przeżyciu wykonywanego utworu.

V Symfonia jest jednym z najpopularniejszych i najbardziej znanych utworów Czajkowskiego. Utwór ten posiada ogromną zwartość wewnętrzną, zawdzięcza to tematowi głównemu, który przechodzi bez mian przez cały utwór. Symfonia ta odznacza się bogatym wykorzystaniem rytmiki i melodyki rosyjskiej muzyki ludowej. Jej liryzm, bogactwo barw, nagłe kontrasty i dramatyczne momenty sprawiają, że przemawia ona do nas bardzo silnie, a słowiański jej charakter (nie tylko zresztą w tym utworze) czyni ją bardzo nam bliską i zrozumiałą.

NA koncert symfoniczny Filharmonii Warszawskiej w dniu 16 listopada złożyły się: uwertura koncertowa „Bajka" Stanisława Moniuszki, koncert fortepianowy f-moll Fryderyka Chopina oraz V Symfonia Dymitra Szostakowicza.

Dokładna data powstania uwertury koncertowej „Bajka" nie jest ustalona, prawdopodobnie przypada na rok 1948. Rok ten rozpoczyna u Moniuszki okres dojrzewania talentu i bardzo żywego wzrastania jego siły twórczej.

Po raz pierwszy „Bajka" z podtytułem francuskim „Conte d'hiver" została wykonana na koncercie kompozytorskim Moniuszki w Petersburgu w lutym 1849 r., poprzedziła ona wykonanie kantaty „Milda".

„Bajka" jest jednym z najlepszych instrumentalnych utworów Moniuszki, posiada ona kształtną i przejrzystą budowę, szlachetną i poetyczną treść. Stanowi ona pewnego rodzaju punkt zwrotny w muzyce polskiej, będąc pierwszym polskim poematem symfonicznym.

Koncert f-moll Chopina słyszeliśmy niedawno w wykonaniu Reginy Smendzianki. Tym razem solistą był znany pianista Stanisław Szpinalski — dał on bardzo indywidualną interpretację utworu, traktując z dużą swobodą tempo oraz wirtuozowskie, zewnętrzne efekty. Wykonanie to bardzo unowocześniło muzykę Chopina zacierając chwilami, zupełnie niesłusznie, jej specyficzny charakter.

Na zakończenie koncertu orkiestra wykonała V Symfonię Szostakowicza — symfonia ta powstała w r. 1937. Rozpoczyna ją temat niespokojny i nerwowy wprowadzając nastrój pełen napięcia dramatycznego, niemal ponurego, nastrój ten wzrasta rozwiązując się w gwałtownym wybuchu, część druga (Allegretto) jest całkowicie kontrastowa, jej lekkie i płynne melodie przynoszą uspokojenie, część trzecia (Largo) wprowadza znowu nastrój pełen powagi i skupienia, chwilami jakiejś tragicznej rezygnacji. Symfonię zamyka potężny o marszowym rytmie finał przynoszący ostateczne rozwiązanie konfliktów nagromadzonych w poprzednich trzech częściach. Ogromna zmienność nastrojów, oryginalność harmoniki, bogactwo treści i formy czynią z V Symfonii dzieło dużej miary, świadczące o mistrzostwie jego kompozytora.

Orkiestra pod dyrekcją Witolda Rowickiego brzmiała poprawnie, wykazując w porównaniu do poprzedniego wykonania Symfonii dużo staranniejsze przygotowanie i zgranie zespołu.

Z.B.K.

WIECZORY POD LIPĄ

O twórczości, lwach i bakteriach

TWÓRCZOŚĆ... Jeżeli mówi się „twórczość", to myśli się: Dante, Szekspir, Newton, Kopernik, Goethe, Einstein. „Twórczość" — to znaczy jakaś rewelacja naukowa czy artystyczna, jakiś przewrót w naszej wiedzy o świecie, jakaś ogromna rewolucja myśli. Zapewne, to jest twórczość. Ale czy tylko to?

A taki, co wymyślił szelki? A taki, co pierwszy wystrugał wykałaczkę? Otaczają nas tysiące przedmiotów, które przywykliśmy uważać za pospolite akcesoria naszego codziennego życia. A przecież każdy z tych przedmiotów: łyżka czy krzesło, parasol czy kalosze, teczka czy ołówek — przeżywały kiedyś uroczystą chwilę wkroczenia po raz pierwszy w życie ludzkości: były wynalazkami.

Tak, proszę państwa, żył kiedyś wynalazca widelca i wynalazca wycieraczki do butów, wynalazca wałka do ciasta i wynalazca wiecznego pióra, wynalazca grabi i wynalazca kosza do papierów, pochłaniającego w każdej szanującej się redakcji tyle owoców poetyckiego i prozatorskiego natchnienia. Byli to wynalazcy, byli to twórcy.

Kto o nich pamięta? Przypadek najwyżej ocalił od niepamięci nazwisko tego czy owego spośród ogromnej rzeszy tych twórców minorum gentium. Ale tylko przypadek. Bo czyż można sobie wyobrazić jakąś instytucję naukową, która mogłaby nawet obecnie, w świecie już jako tako ucywilizowanym, którego najdalsze krainy pozostają w stałym kontakcie pomiędzy sobą, prowadzić ścisłą i dokładną ewidencję wszystkich twórczych i oryginalnych pomysłów, jakie codziennie powstają na kuli ziemskiej?

Gdyby ludzkość zbierała wszystkie informacje na ten temat, to w końcu trzeba by było wznowić przerwaną swego czasu budowę wieży Babel, aby znaleźć pomieszczenie na olbrzymie masy zapisanego i zadrukowanego papieru. No i trzeba by łożyć pieniądze nie tylko na konserwacje takiego lokalu i całą armię zatrudnionych w nim funkcjonariuszy, ale również i na niezłą sforę specjalnie tresowanych psów, które odszukiwałyby zaginionych wśród nowodzi papieru specjalistów-uczonych (specjalistów np. od badań nad genezą i historią łyżki aluminiowej, skórzanej portmonetki lub różnych odmian tzw. „klipy") i wygrzebywały nieszczęśników spod lawiny nieostrożnie poruszonych szpargałów.

Trudno. Powiedzmy sobie szczerze i otwarcie, że nie stać nas na sumienne skatalogowanie choćby tylko drobnych wynalazków, które przyjęły się, zyskały szerszą popularność i przez dłuższy czas służyły jakiejś większej grupie ludzi. A pomyślmy o różnych wynalazkach zlekceważonych, wzgardzonych, zapomnianych. Na pewno nie wszystkie z nich były płodem dziwactwa czy sfiksowanej pogoni za nowością. A wreszcie rozmaite drobne ulepszenia, udogodnienia, usprawnienia... Któż by je zliczył i spamiętał?

Dokoła nas wre i kipi twórcza, wynalazcza praca człowieka. Odbywa się ona nie tylko w pracowniach artystów i uczonych, w laboratoriach zakładów przemysłowych i gabinetach różnego rodzaju fachowców. Wypełnia ona także dzień powszedni ludzi, których przywykło się uważać za szarych, tuzinkowych, pospolitych. Twórczość jest wszędzie. Wszyscy jesteśmy twórcami.

Pewnie, że co innego odkryć nowy pierwiastek chemiczny, a co innego wymyśleć nową potrawę. W obu jednak wypadkach działa ta sama energia psychiczna. Nie wszyscy mogą zostać twórczymi uczonymi lub twórczymi artystami, ale każdy może zostać racjonalizatorem, choćby tylko w zakresie swego domowego gospodarstwa.

Rozwijający się obecnie ruch racjonalizatorski przynosi nobilitację tej właśnie twórczości codziennej, o ograniczonym znaczeniu i zasięgu, ale przecież jakże ważnej i cennej w całokształcie procesu opanowywania materii przez ducha. Mam wrażenie, że gospodarcza i polityczna rola ruchu racjonalizatorskiego przyćmiewa nieco jego niemniej doniosłą rolę kulturalną. No, ale takich spraw nie da się omówić w krótkim felietonie.

I nie o to zresztą chodzi, ale o coś zupełnie innego, a mianowicie o to, że w felietonie pod fascynującym tytułem „222" („Tygodnik Powszechny" nr 341) kładzie nam (tzn. tym z „Dziś i Jutro") Kisiel łopatą do głowy, że to niby: „Odkrywczości się wam zachce wa? Twórczości? Eee, dajcie spokój. Za wysokie progi... Lepiej zająć się uczciwym, dobrze robionym kolportowaniem cudzych myśli, uznanych już powszechnie za ważne i godne rozpowszechnienia". Z prawdziwie chrześcijańską skromnością i pokorą stawia Kisiel siebie za wzór takiego kolportera i komiwojażera wszelkich steryfikowanych i pasteryzowanych mądrości, nadających się do ogólnego spożycia nawet w stanie nieprzegotowanym. Trudno czytać tak uczciwe i szczere wyznanie bez głębokiego wzruszenia. (Ta wstrząsająca spowiedź Kisiela przypomniała mi pewien wierszyk poczciwego dziadzia Asnyka. W wierszyku tym jest co prawda mowa o poecie nie o felietoniście, ale co do mnie byłbym skłonny nie przypisywać zbyt wielkiej wagi temu szczegółowi. Otóż ów przez Asnyka opiewany poeta korzy się w sposób powinny przed wielkością Goethego, że słuszną jest jednak dumą stwierdza, że przewyższa autora „Fausta"... pokorą).

Ale dość na ten temat. Prawdziwa cnota jest sama dla siebie nagrodą i nie dba o rozgłos. Pozostawmy więc te górne sprawy i „z hymnu zstąpmy do prostej powieści".

Kiedy czytałem felieton Kisiela, zapytywałem sam siebie, jak to czynią w podobnych wypadkach melanezyjscy bohaterowie Londona: „Jaka imie kumbug około moja?", oraz (tym razem już nie po melanezyjsku): „Skąd mu się to wzięło?". Skąd ten atak na odkrywczość, twórczość, ambicje nowatorskie u pisarza, który jest (podobnie zresztą jak i niżej podpisany) wielbicielem i uczniem Irzykowskiego? Czy działał tu ów „duch sprzeciwieństwa", o którym pisze Ernest Hello, czy też była to po prostu prowokacja intelektualna, świadomie i celowo zastosowana? Nie wiem. Ale nie o polemikę z Kisielem chodzi mi w tym wypadku, ani też o żadne jego „demaskowanie". Chciałem mu tylko przypomnieć także oto zdanie z naszego wspólnego mistrza Irzykowskiego: „Tragizm się mimikryzuje, wytępiony pod postacią lwów mści się i powraca w formie bakterii" („Czyn i słowo", str. 41).

Otóż w tym rzecz, że podobnie jak z tragizmem ma się sprawa z twórczością. Istnieje twórczość w rozmiarach lwich (Fidiasz, Dante, Goethe, Newton, Einstein) i istnieje twórczość bakterii, taka drobna, codzienna twórczość, od której pochwały zacząłem niniejszy felieton. „Tworzy" to niekoniecznie to samo, co „zapoczątkować nową epokę", „wywołać przewrót w myśleniu", „zburzyć Bastylie przesądów" — i to od jednego zamachu jakimś jednym wielkim, genialnym dziełem. Tworzyć — to także wszczepiać w umysłowość współczesną nowe poglądy, nowe idee, nowe sposoby reagowania na fakty zachodzące w naszym otoczeniu, nie żywiąc przy tym ambicji przewracania świata do góry nogami. Jest to posiew obliczony nie na plonowanie natychmiastowe. Ale czy już nie zanadto zaakcentowałem w przedostatnim zdaniu element nowości? Czy nie jest twórczością również odkrywanie na nowo prawd starych, reaktualizowanie myśli ważnych i cennych, które oglądane w perspektywie historycznego oddalenia nabrały charakteru poczciwych, ciotczynych komunałów? Czy wreszcie samo injekowanie mózgów intelektualnym niepokojem, nieufnością wobec schematów, szablonów, sloganów, ciekawością, pragnieniem znalezienia nowych perspektyw w patrzeniu na świat, człowieka, historię — nie jest pracą twórczą?

Komu z nas sądzona nieśmiertelność na cokole pomnika, komu w jakimś tam nowym wydaniu bibliografii Korbuta, a komu zupełne i rychłe zapomnienie — cóż o tym rozprawiać? Ważne jest to, żeby maszyna myśli ludzkiej nie zardzewiała, żeby szła naprzód, żeby tworzyła coraz to nowe wartości. Poprawność? Oczywiście: jako aparat sprawdzający precyzję i dokładność sformułowań. Ale dylemat: odkrywczość czy poprawność? Jeszcze raz po melanezyjsku: „Jaka imie humbug około moja?", czyli — jak to mówią na Ukrainie: „Ne zdurisz aptekaria szajdewasserom!".

Bogumił Kolec

Józef SZCZAWIŃSKI

Z TEATRÓW ŁÓDZKICH

OSTROWSKI reprezentuje całą epokę w teatrze rosyjskim, a to nie z uwagi na rewolucyjność postawy artystycznej i ideologicznej, bowiem mimo tendencji nowatorskich i postępowych rewolucjonistą nie jest, ani w formie ani w treści, lecz przede wszystkim ze względu na pełny i oparty na mocnych podstawach realizm, będący kontynuacją i zamknięciem pewnego etapu realistycznej twórczości dramaturgów rosyjskich. Realizm autora „Burzy" jest realizmem narodowym, ściśle związanym z charakterem tła i epoki, dlatego pewne typy i sytuacje mogą się wydać nam obce i niedostatecznie umotywowane psychologicznie. Stąd również pochodzą liczne trudności, które pokonywać muszą inscenizatorzy pragnąc zbliżyć i uprzystępnić widzowi polskiemu twórczość Ostrowskiego, nie zatracając jej istotnego charakteru.

Trudności te więcej niż z powodzeniem pokonała Maria Malicka wzmacniając swoją koncepcję reżyserską wspaniałą grą aktorską.

„Grzesznicy bez winy" — ostatnia sztuka Ostrowskiego — nie jest, moim zdaniem, dramatem zbudowanym prawidłowo. Po świetnie skonstruowanej ekspozycji w akcie I, już na początku aktu II publiczność domyślić się może bez wielkiego trudu ostatecznego rozwiązania intrygi. Pierwiastek fabularny traktowany zaczyna być pobocznie, co powoduje skoncentrowanie uwagi widza, zgodnie zresztą z intencją autora, nie na dalszym rozwoju wypadków, lecz na przeżyciach bohaterów i przedstawionej za ich pośrednictwem problematyce moralnej silnie związanej z tłem. Linia napięcia dramatycznego nie wznosi się jednostajnie do punktu kulminacyjnego, lecz rozpada się na szereg drobnych spięć, wymagając od aktora niemałego kunsztu, czujności i opanowania roli. Mimo tych spięć przebieg akcji kształtuje się wolno i spokojnie. Utrzymanie tego spokoju i płynności, przy jednoczesnym utrzymaniu stałego a wysokiego stopnia napięcia dramatycznego, jest wielkim sukcesem sztuki aktorskiej Marii Malickiej w roli Lubow Otradinej. Doskonałość w operowaniu gestem, głosem i mimiką pozwoliła na pełną ekspresję gry przy uniknięciu niebezpieczeństw przesady czy nienaturalności, co szczególnie uwydatniło się w świetnej scenie z Gałczychą (Helena Święcicka).

Ponieważ między aktem I a następnymi upływa 17 lat, sztuką nie lada było zachowanie ciągłości postaci głównej. Ciągłość ta została zachowana, zarzuciłbym tylko zademonstrowanie nam młodej Lubow jako kobiety o charakterze w pełni dojrzałym i skrystalizowanym. Pokazanie pewnego dystansu między dwoma etapami życia Otradinej uwydatniłoby, nie rozbijając jedności postaci, metamorfozy jakie przeszła na swej ciernistej drodze bohaterka.

Efekty realistyczne osiągane przez zróżnicowanie typów i indywidualizację języka postaci stają się wyraźnie dostrzegalne, m. in. dzięki kreacji Jerzego Walczaka w roli Nieznamowa. Syn Otradinej w interpretacji Walczaka może wydać się naszemu widzowi postacią niezbyt prawdziwą. Nie należy jednak zapominać, że Nieznamowie w Rosji lat osiemdziesiątych ub stulecia (a nie tylko w Rosji i nie tylko w środowisku cyganerii artystycznej) zdarzali się aż nazbyt często. Walczak opracował swą rolę starannie i pozostał przez cały czas wierny swej koncepcji aktorskiej. Pewne ograniczenie nerwowości ruchów oraz mniej wyrazista charakteryzacja nie umniejszyłaby plastyczności postaci oddając równie dobrze niepokoje nurtujące psychikę Nieznamowa.



„Grzesznicy bez winy" Al. Ostrowskiego. Scena z aktu III W P Korynkina (Hilda Skrzydłowska), Szmaga (Wojciech Rajewski), N S Dudikin (Zygmunt Nowicki) Pieta Miłowzorow (Zbigniew Jabłoński).

Eugeniusz Stanowski w roli chwiejnego, pozbawionego silnych podstaw moralnych, zepsutego przez otoczenie lecz w gruncie rzeczy niepozbawionego sumienia Murowa, stworzył postać prawdziwą i zgodną z założeniami autora.

Zygmunt Nowicki jako Dudkin pokazał nam prowincjonalnego „wielbiciela teatru i aktorek" grając nieco za sztywno. Całkowite opanowanie gestu, umiejętność tworzenia sylwetek charakterystycznych, cechująca Nowickiego, przy pewnym ociepleniu stylu gry, dałyby o wiele lepsze wyniki.

Elementy komediowe mają w dramatach Ostrowskiego specyficzny charakter, służą bowiem nie tyle wywołaniu wrażenia komizmu, co uwypukleniu ideologii artystycznej i kompozycji sztuki. Tak potraktowana jest świetnie odtworzona przez Wojciecha Rajewskiego postać prowincjonalnego aktora Szmagi. Mimika, głos, podkreślenie indywidualizacji języka — wszystko to współgra i tworzy postać żywą, plastyczną i wyrazistą.

Dobrze zrobioną oraz bardziej komediowo (zgodnie z tekstem zresztą) zarysowaną postać pierwszego amanta Miłowzorowa zademonstrował nam Zbigniew Jabłoński.

Rola Korynkinej (Hilda Skrzydłowska) podobnie jak Talsy Szeławinej (Janina Łukowska) ujęte zostały zbyt farsowo. Zarzut ten szczególnie w pierwszym wypadku skierowany jest raczej pod adresem reżysera niż aktorki, która grała równo, wyraziście.

Scenografia Mariana Bogusza uwydatniająca trafnie atmosferę środowiska i epoki utrzymana była w granicach poprawności artystycznej.

Sens moralny „Grzeszników" to twórcza rola cierpienia zrodzonego z błędów i potknięć, lecz wskazującego właściwą drogę postępowania, oczyszczającego i udoskonalającego człowieka. Wielki realista widzi również jak często warunki zewnętrzne mogą osłabić pozytywny sens cierpienia, mogą charaktery słabsze, mniej odporne z natury lub mniej uodpornione przez działanie otoczenia w najwcześniejszych latach życia, złamać i zdemoralizować. Wreszcie pokazuje nam Ostrowski miłość jako zrodzoną z cierpienia i równorzędną z nim siłę tworzącą dobro.

Te nieprzemijające wartości sztuki wspólnie z jej wartościami artystycznymi oraz dzięki świetnej realizacji scenicznej sprawiają, że wystawienie „Grzeszników" na deskach Teatru Powszechnego jest poważnym wydarzeniem w życiu teatralnym Łodzi.

Z UBOLEWANIEM wspomina Boy w swoich „Obrachunkach fredrowskich" brak zainteresowania publiczności teatralnej lat trzydziestych sztuką Fredry. Dziś nie skarżyłby się autor „Flirtu z Melpomeną" na ignorowanie twórczości hr. Aleksandra przez współczesnego widza, jak nie skarżą się dyrekcje teatrów na niekasowość „Pana Geldhaba" lub „Dożywocia".

Bez wątpienia, jedną z tajemnic renesansu fredrowskiego, będącego ciekawym zjawiskiem zarówno dla socjologa jak i historyka teatru, jest obok plastycznego przedstawiania określonych środowisk w określonej epoce umiejętność tworzenia typów i sytuacji aktualnych w kategoriach ponadczasowych. Inna sprawa, że bohaterowie Fredry najlepiej się czują i najswobodniej oddychają w warunkach jakie im stworzył sam autor i stąd przestroga dla wszystkich ewentualnych fałszerzy fredrowszczyzny, o czym wspominał zresztą Boy, rozprawiając się z jej „celebrantami".

Uniknął tych niebezpieczeństw Iwo Gall dając nam żywego i aktualnego Fredrę. Zespolenie i zharmonizowanie wszystkich elementów sztuki scenicznej, tak charakterystycznej dla dzieł realizatorskich Galla, przyczyniło się w niemałym stopniu do powodzenia ostatniego spektaklu.

Bardzo cenimy piękny, płynny i nienudny wiersz „Zemsty", lecz wierszowi temu nie zaszkodziło bynajmniej, z powodzeniem wprowadzone przez reżysera, ożywienie tempa akcji uzyskane dzięki zdynamizowaniu dialogów. Szczególnie umiejętnie operuje skróconą repliką dialogu Bronisław Pawlik w roli Wacława, wyodrębniając z ogólnego tła, zgodnie z założeniami reżysera, odtwarzaną postać. Odrębność sylwety Wacława, podkreślona przez odrębny ubiór, zaznacza jeszcze silniej Pawlik z lekka stylizując i indywidualizując swoją grę. Ta koncepcja aktorska robi dobre wrażenie, mimo iż nie znajduje pełnego pokrycia w tekście.

Jedna z cech fredrowskiego realizmu jest umiejętne i ostrożne dawkowanie elementów satyry. Fredro tworzy postacie i sytuacje komediowe wplatając w akcje akcenty satyryczne w ten sposób, by nie wyrywały się na plan pierwszy, nie podważały prawdy psychologicznej i sytuacyjnej. Wynikają stąd duże możliwości i duże niebezpieczeństwa dla inscenizatorów, reżyserów i aktorów i w tym wypadku niebezpieczeństwa tego uniknięto mimo zbyt krańcowego potraktowania czołowych ról Cześnika i Rejenta.

Wystylizowany nieco Rejent, koci w ruchach, przypominający swoją sylwetką twór pośredni między Dżingis Chanem a staropolskim diabłem-szlachcicem Borutą, demonstruje z powodzeniem swój arsenał chciwości, obłudy, tyraństwa i egoizmu. Nic więc dziwnego, że zamaszysty, ryczący i apoplektyczny Cześnik (Stanisław Łapiński) wypada przy nim prawie sympatycznie. Hałaburdowatość Cześnika okazuje się niegroźna w obliczu szczęśliwego finału, knowane świństewka gdzieś nikną, nie wytrzymując konkurencji takich np. dobrze zagranych, a uwydatniających czarność świętoszkowatej duszyczki Rejenta fragmentów jak sceny z synem i murarzami. Dialog Raptusiewicz — Milczek ciekawie wypadł dzięki choćby wizji plastycznej doskonale skonstruowanej przez Galla w oparciu o dekoracje i kostiumy, ale o wiele bardziej interesująco pokazano nam obydwu antagonistów osobno.

Doskonałe tło dla Cześnika tworzy potężny ciałem a drobniutki umysłem Dyndalski (Władysław Walter), a szczegółem wykańczającym grupę jest giętki i ruchliwy Papkin (Ludwik Sempoliński).

Barwnej i buńczucznej postaci Cześnika grozi niebezpieczeństwo przekroczenia granicy komedii, granicę te nawet Łapiński kilkakrotnie przekracza, na szczęście farsowość zagrań przechodzi prawie niespostrzeżenie. Anna Jarecka w roli Klary demonstruje nam z powodzeniem sprytną i miłą szlachcianeczkę, tworząc z Wacławem duet sympatyczny, a przede wszystkim związany ściśle z rozwojem akcji.

Podstolina (Krystyna Królikiewicz) potraktowana została zbyt konwencjonalnie. Dzięki równej i opanowanej grze, mimo momentów farsowych nie wyłamuje się z ogólnej koncepcji reżyserskiej.

Ludwik Sempoliński dał nam przede wszystkim doskonale ożywiony rysunek Papkina. Doskonałość posługiwania się gestem i mimiką zaciążyła chwilami nad dykcją nie mniej dobrą lecz osłabioną nienadzwyczajnymi warunkami akustycznymi sali Sempoliński zbliżył nam Papkina grając go wesoło i naturalnie. Jest wiele humanizmu w potraktowaniu roli Papkina przez Sempolińskiego, i to właśnie humanizmu Fredry, którego śmiech godzi nie w człowieka, lecz w ludzkie niedoskonałości.



„Grzesznicy bez winy" Al. Ostrowskiego. Scena z aktu II Gałczycha (Helena Święcicka) H. K Kruczynina (Maria Malicka).

Dekoracje Iwo Galla subtelne w rysunku i kolorze podkreślają lekkość i komediowość widowiska. Zabudowa w niektórych aktach tylko części przestrzeni scenicznej uplastycznia akcję. Ruch, kształt i kolor zespalają się dzięki zestawieniu kostiumów i tła.

Józef Szczawiński

KOMUNIKAT
w sprawie konkursu IM. K. PRUSZYŃSKIEGO

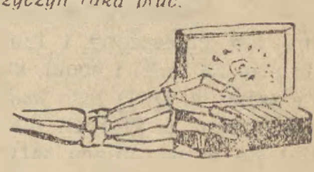
Ponieważ ogłoszony w „Dziś i Jutro" konkurs na nowelę o tematyce wrześniowej wywołał ogromne zainteresowanie, które wyraża się niespodziewanie dużą ilością nadesłanych prac, jury zmuszone jest przesunąć termin ogłoszenia wyników konkursu do numeru gwiazdkowego

O WSZYSTKIM po trochu

ZE ŚWIATA

UWAGA PALACZE

W czasie konferencji lekarskiej w Wolverhampton (Anglia) dr Horacy Joules oświadczył że palenie papierosów stanowi jedną z najważniejszych przyczyn raka płuc.



„14 tysięcy osób umiera rocznie na raka płuc — oświadczył on — i choroba ta powoduje więcej ofiar niż gruźlica".

Poza tym dr Joules zaznaczył, że niebezpieczeństwo raka płuc jest najgroźniejsze dla ludzi palących ponad 25 papierosów dziennie.

Czyli, że 24 papierosy dziennie palić można...

BYLE Z NICH SKORZYSTAŁ

W Brookhaven (Missouri) złodziej, który włamał się do mieszkania pastora Landon Miller'a, poza paroma drobiazgami ukradł tylko piękną teczkę z tekstami maszynowymi 200 kazań.



Nie chcemy być fałszywymi oskarżycielami, ale prawdopodobnie działała tu konkurencja fachowa.

OSWOBODZICIEL

Na Wielkim Placu w Brukseli każdej niedzieli rano odbywa się specjalna sprzedaż ptaków. Wśród licznych, stałych klientów, najwierniejszym jest niejaki M. E. Docelot. Co niedzieli więc można go zobaczyć na Wielkim Placu, kupującego ptaki. Sądzicie państwo, zapewne, że ma wspaniałą ptaszarnię? Nic podobnego. Kupuje ptaki... żeby im zwrócić wolność.

Na podstawie statystyk, prowadzonych starannie w ciągu dwudziestu lat, p. Docelot twierdzi, że w ciągu tego czasu uwolnił 1.397 skowronków, 947 zięb, 633 dzwońców, 119 czyżyków, 134 szpaków i 128 drozdów. Pomyślcie ilu przyjaciół zyskał sobie p. Docelot w skrzydlatym świecie.

JAK W STAREJ OPERETCE

Do weterynarza w prowincjonalnym miasteczku francuskim telefonuje prefekt:

— Miło mi zawiadomić pana, że minister Lotnictwa odznaczył pana Legią Honorową.

— Mnie?! Za co?!

— Nie wiem

Minister Lotnictwa istotnie polecił prefektowi zakomunikować tę przyjemną wiadomość jednemu ze swych przyjaciół (o tym samym nazwisku co weterynarz).

W rezultacie, dla uniknięcia dalszego zamieszania minister udekorował obu: swego przyjaciela i... weterynarza.

Można powiedzieć, że Legią Honorową we Francji szafuje się dziś tak samo jak Legią Cudzoziemską.

KTO SIĘ ODWAŻY?...

W ciągu ostatniego roku w prowincji Orissa (Indie) tygrysy pożarły około 500 osób W związku z tym przewidziane jest polowanie na nie.



szczególnie, że przestraszeni mieszkańcy grożą opuszczeniem wiosek.

Ale kto się odważy, kto się odważy, kto się odważy wejść w las?

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Zygmunt Lichniak, Konstanty Łubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p., tel. 8.80.71, 8.80.26. Konto PKO — Nr I-727.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i czwartków godz 11 — 13.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne Prenumerata miesięczna 1.80 złotych. Kwartalnie 5.40 złotych
Drukarnia Akcydensowa Warszawa, Tamka 3 Zam 3038/A 2 B-45442.